



CATHIE LINZ



*Na wszystko
przyjdzie czas*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Hej, ty! Zatrzymaj się! Muszę z tobą porozmawiać!

Susanna Hall nie zareagowała, przekonana, że nie do niej skierowany był ten głośno wypowiedziany męskim głosem rozkaz. Współczuła trochę biedaczce, którą czekała taka „rozmowa”, wróciła jednak myślami do własnych zmartwień.

Mimo że była redaktorką z niemal pięcioletnim stażem, po raz pierwszy przyjechała na Zjazd Wydawców Amerykańskich, który odbywał się tym razem w Savannah. Jej niedawny awans na starszego redaktora w wydawnictwie McPhearson Publishing oznaczał, że uczestniczenie w tych ogromnych targach miało być odtąd jej obowiązkiem zawodowym.

Kiedy rano weszła do centrum wystawowego zjazdu, poczuła się jak dziecko, które po raz pierwszy w życiu zobaczyło prawdziwy, gwarny i bajecznie kolorowy cyrk. Ale było już wczesne popołudnie i głód doskwierał jej na tyle, że opuściła stoisko wystawowe McPhearsona i udała się na poszukiwanie baru.

- Powiedziałem, że chcę z tobą porozmawiać! - usłyszała ten sam rozwścieczony męski głos, tym razem tuż za swoimi plecami.

Zatrzymała się, odruchowo zacisnąwszy palce na wielkiej torbie, której gotowa była, w razie potrzeby, użyć w swojej obronie.

Mężczyzna był wysoki, miał ciemne, zmierzwione włosy, a w oczach furie. Nigdy wcześniej go nie spotkała.

Susanna rozejrzała się wokół, jakby szukając dla siebie obrońcy w kimś z otaczającego ją tłumy, choć, tak naprawdę, ludzie płynęli w tym tłumie niczym woda w strumieniu, nie zwracając na siebie wzajemnie najmniejszej uwagi. Jeżeli o czymś myśleli, to o milionowych transakcjach, które miały zawrzeć podczas tych targów ich firmy.

- Mówi pan do mnie?

- Tak jest, mówię do pani - warknął mężczyzna.

- Raczej krzyczy pan, panie... Wilder - odczytała nazwisko na identyfikatorze, który potwierdzał, że nieznajomy, tak jak ona, jest uczestnikiem zjazdu. - W czym problem?

- W pani - odpowiedział Kane Wilder, wpatrując się w nią wyzywającym wzrokiem.

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi.

- O mojego brata Chucka, który z pani powodu chce porzucić swoją żonę.

- Słucham? - Susanna osłupiała z wrażenia. - Wybacz pan, ale to jakieś nieporozumienie...

- Nie, nie wybaczę. To, co pani zrobiła, uważam za rzecz niewybaczalną.

- Myślę, że został pan wprowadzony w błąd, panie Wilder - zaczęła ugodowym tonem.

- Nie sądzę. Za to pani jest osobą, która popełniła wielki błąd. Susanna Hall, prawda? Pracuje pani w McPhearson Publishing, zgadza się?

- Owszem.

- Więc zamierza pani udawać, że nie zna mojego brata? Bawi panią taka gra?

- To nie jest żadna gra, panie Wilder.

- Ciekawe, czym dla takiej Maty Hari jak pani są zabawy łóżkowe z młodszym od siebie, żonatym mężczyzną.

Mata Hari? Susanna nie wiedziała, czy powinna potraktować to jak komplement, czy raczej jak obelgę. Nie umiała sobie wprost wyobrazić kogoś mniej pasującego do stereotypu uwodzicielki. Zabawne! Miała niemodną fryzurę, przesadnie kręcone włosy, zbyt pełną figurę, za duże oczy. Mata Hari! Z jej upodobaniem do pastelowych kolorów, strojów w romantycznym stylu... Śmiechu warte! Co prawda błękitny kostium, który miała na sobie, był prosty i elegancki, jak przystało na oficjalną okazję.

„Mata Hari” kojarzy się z podstępny charakterem, pewnością siebie, brakiem skrupułów. Susanna w głębi duszy była natchnioną marzycielką. Jeśli miała sobie coś do zarzucenia, to nadmierną powściągliwość w kontaktach z ludźmi. Usłyszała kiedyś, że wobec mężczyzn jest jak kosa, która musi trafić na swój kamień.

Ale żeby nazwać ją Matą Hari? Niedorzeczność. Facet musi mieć nie po kolei w głowie.

- Mój brat nazywa się Chuck Wilder. Charles Wilder. - Kane mówił wyraźnie i powoli, jakby zwracał się do dwuletniego dziecka. - Coś pani świta w głowie, czy może z nadmiaru wrażeń straciła pani pamięć do nazwisk?

- Mówi pan o Charlesie, który jest praktykantem w moim dziale? - Susanna nie zwróciła dotąd uwagi na nazwisko młodego człowieka. Był dla niej po prostu „praktykantem Charlesem”. Jednym z czterech, którzy terminowali u McPhearsona.

- Właśnie. Z pewnością wiele go już pani nauczyła - powiedział zjadliwym tonem Wilder.

- Zgadza się. Po to do nas przyszedł. Żeby się uczyć.

- Czy fakt, że mój brat jest żonaty, ma dla pani jakiegokolwiek znaczenie?

- Raczej nie - przyznała. - Co prawda większość naszych praktykantów to studenci pierwszych lat college'u, więc z natury rzeczy rzadko bywają obarczeni rodziną, ale regulamin praktyk nie dyskryminuje żonatych.

- Proszę posłuchać uważnie: powiem to tylko raz - wycedził Kane. - Niech pani trzyma się jak najdalej od mojego brata.

- Trudne do wykonania, bo to on u mnie pracuje, a nie odwrotnie.

- Więc niech go pani zwolni.

- Nie zrobię tego. Choćby dlatego, że jest praktykantem, a nie płatnym pracownikiem. A teraz niech pan mnie uważnie wysłucha. Bardzo mi przykro, że pana brat przeżywa kłopoty małżeńskie, ale doprawdy nie wiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Pani raczy żartować, ale to wcale nie jest śmieszne! Nie widzi pani związku waszego romansu z jego kłopotami małżeńskimi?

- Romansu? - powtórzyła z niedowierzaniem, teraz już całkowicie pewna, że Kane Wilder nie jest człowiekiem przy zdrowych zmysłach. - To jakaś bzdura!

Była z Charlesem kilka razy na lunchu, to wszystko. Poza tym nie wydarzyło się nic niestosownego... Owszem, raz. Dwa tygodnie temu, kiedy coś kopiowała, Charles otarł się o nią w podejrzany sposób, ale pomyślała potem, że pewnie jej się zdawało i staje się przewrażliwiona. Teraz wiedziała, że miała rację.

Susanna poczuła się nieswojo na myśl, że Charles zbzikował na jej punkcie, a ona tego nawet nie zauważyła.

Takie rzeczy jej się po prostu nie przydarzały, dlatego łatwo zlekceważyła pierwszy sygnał.

- Proszę posłuchać, panie Wilder, pana brat ma z pewnością jakieś problemy...

- Oczywiście i niech mnie pani teraz spróbuje przekonać, że to wyłącznie jego wina! Że sam sobie na nie zasłużył!

- To on jest żonaty.

- A pani, wiedząc o tym, romansuje z nim bez żadnych skrupułów! Mimo że jest od pani o wiele młodszy.

- Bez przesady z tym „wiele”! - obruszyła się.

- W każdym razie jest pani wystarczająco dorosła, żeby zdawać sobie sprawę z konsekwencji własnych czynów.

- On również. Ale nie chcę przez to powiedzieć, że coś się między nami wydarzyło. Pański brat jest kłamcą, jeśli on sam wymyślił ten romans.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Więc mam uwierzyć pani, a nie własnemu bratu, którego pomagałem wychowywać i wiem, że nigdy w życiu nie kłamał. Czy tak?

- Jak na pierwsze kłamstwo, trudno byłoby je nazwać niewinnym - odparowała natychmiast. - Twierdzenie, że łączy nas cokolwiek, co zagrażałoby jego małżeństwu, jest niedorzeczne.

- A więc łączy was tylko seks? Tak mam to rozumieć?

- Nie! Ma pan przyjąć do wiadomości, że kontakty, jakie utrzymuję z pana młodszym bratem, mają czysto zawodowy charakter.

- Czysto zawodowy? A więc nigdy nie spotkaliście się prywatnie. I traktuje go pani tak jak wszystkich innych współpracowników?

Jej twarz zasnuł cień wątpliwości, a może nawet poczucia winy. Nie potrafiła tego ukryć.

- Wiedziałem - powiedział z pogardą Kane.

- Nie, niczego pan nie wie! - Jej cierpliwość była na wyczerpaniu. - Może rzeczywiście poświęcałam mu więcej uwagi niż innym praktykantom. Ale to nie znaczy, że go do czegokolwiek zachęcałam! Ani świadomie, ani nawet w wyobraźni!

- A dlaczego, pani zdaniem, mój brat miałby kłamać w takiej sprawie? Po co?

- Nie mam pojęcia. Niech pan jego o to zapyta. Może źle pan zrozumiał to, co Charles powiedział swojej żonie?

- Dobrze zrozumiałem, co mnie powiedział.

- Nie mogę w to uwierzyć. Przecież zdawał sobie chyba sprawę, że tak bezczelne kłamstwo wcześniej czy później musi wyjść na jaw.

- Otóż to - zgodził się z nią uprzejmie Kane. - Musiałby być ostatnim głupcem, żeby zmyślić taką historię.

- Co nie znaczy, że powiedział prawdę. Kiedy wrócę do Nowego Jorku, odbędę z nim na ten temat szczerą rozmowę.

- Kolejną miłą pogawędkę w pani domu?

- Nigdy nie był w moim... - Przypomniała sobie, że kiedyś pracowała w domu nad rękopisem i Charles przywiózł jej kontrakt, który musiała natychmiast autoryzować. - A więc dobrze, był u mnie. Jeden raz. Przez pięć minut. Może piętnaście. Poczęstowałam go filiżanką kawy.

- I na pewno nie odmówiła mu pani wyrazów współczucia z powodu kaprysów nieznośnej żony.

- Nie wiedziałam nawet, że jest żonaty!

- A więc skoro pani już wie, należałoby z tym skończyć.

- Ile razy mam panu powtarzać, że niczego nie zaczynałam? - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Może pani powtarzać to do znudzenia, a ja i tak nie uwierzę w ani jedno pani słowo. I proszę zapamiętać, że nie będę się przyglądał z założonymi rękami, jak mój brat cierpi i marnuje życie przez taką...

- ...Matę Hari jak ja. W porządku, panie Wilder, powiedział pan swoje. Mam nadzieję, że doczekam się przeprosin na piśmie, kiedy nieporozumienie zostanie wyjaśnione.

- Coś takiego... - Patrzył na nią z niedowierzaniem w oczach. - Nie brak pani tupetu ani zimnej krwi.

- Spodziewał się pan gwałtowniejszej reakcji z mojej strony? Przyznam, że gdyby to oskarżenie nie było tak absurdalne, czułabym się śmiertelnie obrażona. Ale skoro jest to kompletna bzdura, kładę pańskie ordynarne zachowanie na karb męskiej hysterii.

- Dwa ostatnie pojęcia wzajemnie się wykluczają.

- W pańskim przypadku nie. - Powiedziawszy to słodkim głosem, odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku damskiej toalety.

- Nie skończyliśmy jeszcze rozmowy! - zdążył krzyknąć, zanim Susanna zniknęła za drzwiami.

- Nie wie pani, czy jest stąd jakieś inne wyjście? - spytała kobietę, która czesała się przed lustrem.

- Tamte drzwi prowadzą do holu wyjściowego.

- Świetnie, dziękuję.

Utarczka z Kane'em Wilderem zajęła jej piętnaście z trzydziestu minut przeznaczonych na lunch. Następne dziesięć spędziła w kolejce do baru. Łapiąc wreszcie pierwsze z brzegu jabłko i porcję anemicznie wyglądającej zielonej sałaty, żałowała, że nie potraktowała Wildera tak, jak na to zasłużył. Zamiast bronić się, powinna posłać go do diabła, kiedy tylko otworzył usta.

Upchnąwszy z trudem zdobyte wiktuały do torby, Susanna wróciła do stoiska wystawowego McPhearsona. Podobnie jak pozostali redaktorzy reprezentujący firmę, musiała odpowiadać na wszelkie możliwe pytania księgarzy dotyczące wydawanych przez jej oficynę książek.

Uśmiechając się do ludzi, którzy mijali ich stoisko, wciąż się zastanawiała, czy - poza żoną i bratem - praktykant Charles opowiedział swoją bajeczkę jeszcze komuś innemu. Oczywiście, najbardziej ją ciekawiło, czy rozgłosił tę brednię w firmie. Zresztą na pewno by mu nie uwierzyli. Ani myślała pytać kogoś wprost, ale mogła przecież przeprowadzić dyskretne dochodzenie...

Postanowiła zacząć od Roya, szefa marketingu.

- Jak ci się podobają nasi tegoroczni praktykanci? - zapytała.

- Są w porządku - odpowiedział bez zastanowienia. - Chociaż, nie wiem, czy to tylko moje wrażenie, ale wydaje mi się, że z roku na rok trafiają nam się coraz bardziej niepoważni ludzie.

Kusiło ją, żeby zapytać, co myśli o Charlesie, ale bała się, że wzbudzi w Royu jakieś podejrzenia. Najlepsze, co mogła zrobić, to wytrzymać do poniedziałku rano, dostać w swoje ręce tego łgarza... i zabić go!

Oczywiście nie miała zamiaru okaleczyć cieleśnie kochanego braciszka Kane'a, ale sprawić, by ten młodzieniec zapamiętał na długo, ile kosztuje nadwężanie jej reputacji.

- Roy, słyszałeś kiedyś o przedsiębiorstwie Wildera?

- To cholernie przebojowa firma, która zakasowała konkurencję nową technologią CD ROM-ów.

- Technologię czego? Roy, mów do mnie po ludzku.

- Zapomniałem, że rozmawiam z cierpiącą na technofobię redaktorką, która boi się dotknąć komputera na własnym biurku.

- Nie boję się go dotknąć. Po prostu nie wchodzimy sobie w drogę. Ja mu nie wadzę i on mi nie przeszkadza.

- Naprawdę wiele działałabyś z jego pomocą.

- Wiem, wiem. W końcu będę musiała się nauczyć, jak z niego korzystać - przyznała. - Ale nie skomputeryzowali jeszcze całego biura, więc nie ma pośpiechu.

- Masz czas do końca roku.

- Dobrze, ale wróćmy do firmy Wildera i CD ROM-ów.

- Chodzi o zapisywanie dowolnych informacji na płytach kompaktowych, które odtwarza komputer. Wyobraź sobie, na przykład, swoją własną bibliotekę, składającą się z czterystu pięćdziesięciu największych dzieł literatury światowej, zapisaną na jednej płycie.

- Fantastyczne! Tylko znajdź mi człowieka, który wolałby się wgapiać w ekran monitora zamiast czytać książkę w swoim ulubionym fotelu.

- Nie zapominaj, że są już komputery, które mieszczą się w dłoni.

Dwudziesty pierwszy wiek za pasem, koleżanko.

- Nie przypominaj mi o tym - mruknęła posepnie.

- Więc skąd u ciebie zainteresowanie firmą komputerową Wildera?

- Kilka minut temu miałam przyjemność poznać Kane'a Wildera.

- Poważnie? Niektórzy uważają go za geniusza, wizjonera technologii komputerowej. Takie typowe cudowne dziecko.

- On na pewno nie jest dzieckiem, ale ma brata Charlesa, o którym można by tak powiedzieć. To jeden z naszych praktykantów.

- Który?

- Ciemnowłosa, nosi okulary w drucianej oprawce - odparła obojętnie, na końcu języka mając: „kłamlivy, wredny szczeniak”.

- Wygląda na to - roześmiał się Roy - że upodobanie do pretensjonalnego sposobu bycia jest cechą rodzinną Wilderów.

Susanna uśmiechnęła się blado, chociaż w wyglądzie Kane'a nie zauważyła niczego pretensjonalnego. Jego ciemny garnitur wydał jej się elegancki, dobrze skrojony, odpowiedni na tę okazję. Może tylko jedwabny krawat w niebieskie wzorki przypominające ekrany monitorów nie był najszcześniejszym pomysłem, ale też i niczym szokującym.

Niewykluczone, że w normalnych okolicznościach, gdyby nie patrzył na nią w tak wredny sposób, mógłby jej się nawet spodobać. Tak, jest dość atrakcyjny. Z pewnością nie należy do ludzi, którzy chętnie przepraszają. Jednak tym razem przeprosi, pomyślała z determinacją Susanna. To prawda, że na widok komputera drżały jej ręce, ale z Kane'em Wilderem musiała sobie poradzić!

Kiedy Kane znalazł się w swoim pokoju hotelowym, od razu usiadł przy telefonie. Przez całe popołudnie dbał o interesy firmy, teraz więc przyszła pora na sprawy rodzinne. Wpisując do pamięci aparatu numery wszystkich rozmówców, z którymi chciał się połączyć, myślał o niedawnym spotkaniu z Susanną Hall. Wypadło gorzej, niż się spodziewał. Nie znosił niespodzianek, a ta kobieta nieprawdopodobnie go zaskoczyła.

Nastawił się na zupełnie inną rozmowę - na pewno nie z dziewczyną o słodkiej twarzy i ciętym języku.

Jej wielkie brązowe oczy zdawały się kpić z niego, mówiły: Jesteś zwykłym głupcem”,

Kane nie pamiętał, żeby ktokolwiek przed nią tak na niego patrzył. Większość ludzi, z którymi miał do czynienia, była święcie przekonana o jego ponadprzeciętnej inteligencji. W szkole średniej zaliczał po dwie klasy w jed-

nym roku, potem studia, według indywidualnego programu, skończył dwa lata wcześniej.

Przywykł do tego, że wszyscy nauczyciele nazywali go „wybitnie uzdolnionym”, a kobiety „bardzo przystojnym”. Z dumą obnosił swoje nieprzystosowanie do banalnej egzystencji, jaka była udziałem wielu jego znajomych. Miał opinię „outsidera” i „samotnika”, który zdecydował się żyć na własny rachunek.

Ale nigdy nie żył tylko dla siebie. Miał Chucka. Ich matka umarła, kiedy Chuck miał zaledwie cztery lata. Czternastoletni wówczas Kane był na tyle dojrzały, że potrafił zaopiekować się bratem i chronić go przed ojcem pijakiem. Przez całe cztery lata, bo rodzic zapił się na śmierć w przeddzień osiemnastych urodzin Kane'a.

Przy pomocy Philipa Duranta, swojego opiekuna naukowego z Massachusetts Institute of Technology, Kane wystąpił do sądu o prawo sprawowania opieki nad ośmioletnim bratem. Philip i jego żona stali się zastępczymi dziadkami Chucka, ani na chwilę nie przestając wierzyć, że Kane, ze swoim talentem i wytrwałością, stworzy kiedyś bratu i sobie lepsze warunki życia.

Teraz mieli już to lepsze życie, ale Chuck zdawał się tego faktu zupełnie nie doceniać. Kane nie mógł przeboleć, że Philip i jego żona już nigdy w niczym mu nie doradzą. Zginęli oboje w wypadku samochodowym dwa lata temu. Wciąż mu ich brakowało, szczególnie w takich chwilach jak ta.

Głos bratowej wyrwał go z zamyślenia,

- Cześć, Ann - powiedział z udawanym ożywieniem w głosie.

Mimo początkowych obaw co do rozwagi dziewiętnastoletniego Chucka decydującego się na małżeństwo w tak młodym wieku, Kane doszedł w końcu do wniosku, że Ann będzie dla jego brata dobrą żoną. Ta mocno stąpająca po ziemi, dobra dziewczyna zasłużyła na lepszy los, pomyślał nagle z furją, prosząc ją, żeby zawołała Chucka.

- Nie ma go w domu - odpowiedziała załamującym się głosem.

- Co się stało? - zapytał łagodnie. - Pewnie znów się pokłóciliście?

- Przecież wiesz, że Chuck się nie kłóci. Po prostu spokojnie robi to, na co ma ochotę.

Kane zaklął cicho, a potem przez chwilę milczał.

- Rozpuściłem gówniarza, nie da się ukryć.

- Przestań, Kane, to nie twoja wina. Oboje wiemy, kto tu jest naprawdę winny. Ona. Znalazłeś ją? Rozmawiałeś z nią?

- Tak.

- I co ci powiedziała?

Nie mogło mu przejść przez gardło, że Susanna Hall nie przyznała się do żadnej winy, a i on sam nie jest pewien, co o tym wszystkim myśleć. Postanowił więc nie wdawać się w szczegóły, dopóki nie porozmawia z Chuckiem.

- Nie martw się, Ann. Panuję nad wszystkim, wierz mi. Głowa do góry.

Susanna wpadła do pokoju półżywa ze zmęczenia. Z niedobrym przeczuciem, że dzień pełen niespodzianek jeszcze się nie skończył, zdjęła buty na wysokich obcasach i cisnęła na łóżko służbową walizkę. Westchnęła z ulgą, kiedy usiadła wreszcie w fotelu, żeby złapać oddech.

Miała, niestety, tylko pół godziny na przygotowanie się do wieczornego przyjęcia - kulminacyjnej imprezy targów, która zapowiadała się w tym roku bardzo widowiskowo. Organizatorzy wynajęli na tę okazję najciekawszą zabytkową budowlę w mieście. Zadbali o wszystko: począwszy od autobusów, które miały dowieźć gości na bankiet z ich hoteli, a skończywszy na strojach z epoki - w odpowiednim rozmiarze - dostarczonych każdemu do pokoju.

Susanna nie bez niepokoju otworzyła torbę ze swoim kostiumem, ale widok aksamitnej sukni w kolorze głębokiej czerwieni wprowadził ją w zachwyt. Nie mogła wprost uwierzyć, że zgadzał się i kolor, i zamówiony rozmiar kostiumu.

Nareszcie coś układa się dobrze! Chociaż za żadne skarby, przed nikim, nie przyznałaby się do tego, że Kane w roli anioła zemsty, ze swoimi bzdurnymi oskarżeniami, dotknął ją do żywego.

Suknia pasowała jak ulał. Dzięki jej długości do kostek, Susanna mogła włożyć aksamitne pantofle zamiast butów na wysokich obcasach, w których dosyć się nacierpiała przez cały dzień pracy. Nie zachwyił jej natomiast głęboki, odsłaniający szczyty piersi, dekolt.

Z braku czasu niewiele mogła zrobić z włosami, które w wiosennym, wilgotnym powietrzu skręciły się bardziej niż zwykle. W ciągu pięciu minut nie zdołałaby doprowadzić ich do ładu i ułożyć w jaką taką fryzurę, postanowiła więc upiąć je w koczek.

Do kostiumu będzie pasował jej własny, ulubiony komplet biżuterii, którą odziedziczyła po swojej prababce: naszyjnik z granatów, kolczyki i bransoleta. Nigdy dotąd nie zabierała tych skarbów w podróże służbowe, jednak perspektywa zaprezentowania swojej biżuterii podczas balu kostiumowego była wyjątkową pokusą, której nie potrafiła się oprzeć.

Spojrząwszy na zegarek, Susanna cicho zaklęła. Zostało jej pięć minut. Chwyliła torbę i dopiero w holu zorientowała się, że powinna przełożyć konieczne drobiazgi do małej torebki.

Tak właśnie wyglądało jej życie, pomyślała z goryczą, wciskając niecierpliwie guzik windy. Była osobą potrafiącą wszystko zaplanować i zorganizować. Ale zawsze musiało przydarzyć się coś takiego, co psuło ogólne wrażenie; zbijało ją z tropu albo krzyżowało plany. Tym razem „czymś takim” była niewłaściwa torebka.

Wsiadła do autobusu jako ostatnia. Kiedy dojechali na miejsce, pięć minut zajęło jej szukanie zaproszenia w przepastnej torbie, z której nie wyjęła ani jabłka, ani podręcznego magnetofonu, nie mówiąc o wielu innych niepotrzebnych rzeczach.

Przerzucając nieszczęsną torbę przez ramię na plecy, omal nie znokautowała nią mężczyzny, który szedł tuż za nią w tłumie, posuwającym się krok za krokiem w kierunku głównej sali bankietowej. W środku było już pełno ludzi. Susanna zrezygnowała z przepychania się w kierunku stołu z jedzeniem, kiedy usłyszała, że mężczyzna stojący przy schodach zaprasza chętnych do zwiedzenia gmachu.

Zmierzając ku niemu, zderzyła się z kimś, kto szedł w tę samą stronę.

- Przepraszam - powiedziała z uśmiechem, który przeobraził się w grymas w tej samej sekundzie, kiedy rozpoznała Kane'a Wildera. - Co pan tu robi?

- Szukam pani. Powiedziałem wyraźnie, że nie skończyliśmy rozmowy.

- Ale ja ją skończyłam. - Susanna odwróciła się błyskawicznie, weszła na schody z resztą grupy, ale kątem oka zauważyła, że Kane idzie tuż obok niej.

- Bardzo proszę iść za mną parami - zwrócił mu uwagę przewodnik. - Staramy się nie dopuścić do przeciążenia konstrukcji.

Nie chcąc dopuścić do przeciążenia swojej konstrukcji psychicznej, Susanna starała się skoncentrować całą uwagę na sukni, którą wchodząc po schodach, musiała podtrzymywać oburącz. Byle tylko nie myśleć o mężczyźnie, który szedł krok w krok za nią.

W czarnym wiktoriańskim fraku i białej koszuli z wykrochmalonym kołnierzem wyglądał świetnie. Czowała na sobie jego wzrok. Gdyby tak mogła ważyć o pięć kilogramów mniej. Albo siedem. Suknia, którą włożyła, miała tylko jedną; ale zasadniczą wadę: nie tuszowała okrągłości figury.

Kane wpatrywał się w nagie ramiona Susanny Hall z niekłamaną przyjemnością. Po raz pierwszy od wyjścia z hotelu był zadowolony, że zdecydował się na udział w tym przyjęciu.

Miał ochotę zostać w swoim pokoju i czekać na telefon od brata, ale doświadczenie mu podpowiadało, że może czekać dość długo. Postanowił zadzwonić do niego w nocy i jednak iść na bankiet - po to tylko, żeby przycisnąć Susannę do muru i wymóc na niej obietnicę, że zostawi Chucka w

spokoju. Musiał uzbroić się w cierpliwość, ponieważ na razie jedyną osobą, która coś mówiła, był przewodnik.

- Dom Whitakerów jest znakomitym przykładem architektury końca osiemnastego wieku. W czasach swojej świetności był chlubą miasta Savannah. Wielki Kryzys nie oszczędził i tego budynku - w 1930 pełnił rolę kamienicy czynszowej, a w 1950 omal go nie zburzono. Gdyby nie determinacja Ligi Ochrony Zabytków, której udało się ten piękny gmach ocalić, mielibyśmy dziś na jego miejscu parking samochodowy.

Sama myśl o tym wydała się Susannie przerażająca. Czując na plecach oddech Kane'a, próbowała kilka razy przecisnąć się do przodu, żeby potem łatwiej mu się wymknąć, ale na próżno. Kroczył za nią jak cień.

- Jak państwo widzą - ciągnął przewodnik - na pierwszym piętrze znajdują się sypialnie, którym udało się przywrócić oryginalny wystrój i meble z epoki. Za chwilę, na ścianie wzdłuż schodów, obejrzyście kilka portretów rodzinnych, a wśród nich obraz przedstawiający Elsbeth Whitaker, która - na tych właśnie stopniach - popełniła samobójstwo.

Susanna poczuła zimny dreszcz przeszywający ją od stóp do głów. Nie od razu dostrzegła obraz, ponieważ zasłaniali go stłoczeni w korytarzu ludzie. W pewnej chwili tłum się rozstał i zobaczyła portret przesycony światłem - białą twarz i smutne oczy. Odwróciła się i poszła dalej, ale wizerunek tamtej kobiety zachowała w pamięci.

- Co jest na drugim piętrze? - zapytał ktoś przewodnika.

- Na razie magazyny. Górną część domu zmuszeni byliśmy poddać rekonstrukcji i renowacji, dlatego nie można jej zwiedzać. - Uśmiechnął się, uznając sprawę za wyjaśnioną. - Tą samą drogą wrócimy teraz na dół, apeluję więc jeszcze raz do państwa o schodzenie po schodach parami, bez pośpiechu.

- Musimy porozmawiać - szepnął Kane Susannie do ucha. - Nie uwolnisz się ode mnie, dopóki nie obiecasz, że zostawisz w spokoju mojego brata.

- Spadaj! - syknęła wściekle, ostatecznie wyprowadzona z równowagi. Jak na jeden dzień wystarczyło jej wrażeń i nie miała najmniejszej ochoty na kłótnię z jakimś obcym zwariowanym facetem. Przesunęła się instynktownie do przodu, żeby przed nim uciec, chociaż wiedziała, że w takim miejscu nigdzie się nie schowa. Chyba że... Spojrzała w górę. Mogłaby się wymknąć na drugie piętro i poczekać, aż Kane da za wygraną i przestanie jej szukać.

Zrobiła to, kiedy przewodnik odwrócił się w przeciwną stronę, a ona wciąż korzystała z osłony tłumu. Nie zastanawiała się długo. Po prostu zrobiła to, jakby kierował nią jakiś wewnętrzny impuls.

Kane był już prawie na parterze, kiedy dostrzegł ją kątem oka. Susanna szła schodami w górę. Odwrotnie niż wszyscy. Mrucząc coś pod nosem, wymknął się z tłumu i ruszył za nią.

Zamiast magazynu, o którym mówił przewodnik, na drugim piętrze znalazł kompletnie umeblowaną, pograżoną w migotliwym półmroku, starą komnatę. Wewnątrz, tuż za progiem, dostrzegł Susannę.

Obawiając się kłopotów w razie przyłapania ich w części budynku niedostępnej dla zwiedzających, Kane wyszeptał jej imię, chociaż tak naprawdę miał ochotę głośno krzyknąć.

Nie zwracając na niego uwagi, Susanna ruszyła do przodu, w kierunku bladoniebieskiego światła, dochodzącego z miejsca, w którym stał fotel bujany - w przeciwległym kącie pokoju, obok drugich drzwi.

Susanna zapomniała o istnieniu Kane'a. Była jak w transie. Przyciągała ją do tego światła jakaś tajemnicza siła. Ale im bliżej była jego źródła, tym wyraźniej niebieska poświata przesuwiała się w kierunku drzwi.

Susanna szła dalej, oczarowana, kiedy nagle, na ułamek sekundy, w aureoli błękitnego eterycznego blasku, zobaczyła ludzką twarz - twarz kobiety z portretu!

Kane dotykał niemal ramienia Susanny, kiedy wyciągnęła rękę do plamy światła, ale ono zniknęło w tej samej chwili, w której przekroczyli próg drzwi. Czymkolwiek było to tajemnicze zjawisko, rozplynęło się bez śladu!

- Widziałeś to? - zapytała szeptem Susanna, ale nie doczekała się odpowiedzi. - Nie powiesz mi chyba, że nie widziałeś niczego?

- Powiem ci tylko jedno: żebyś dała spokój mojemu bratu.

- Zmień płytę, bo się zacięła - odparowała natychmiast i zbiegła po schodach.

Kane'owi się nie spieszyło. Jak na jeden dzień, miał jej serdecznie dosyć. Jutro znajdzie sposób żeby ją dopaść, kiedy nie będzie tak głodny i zmęczony. A to dziwne światło, które widzieli na górze? Pewnie był to hologram, przygotowany na jakąś imprezę.

Przyjęcie rozkręciło się na dobre. W salach było pełno ludzi, a większość osób - co było dziwne o tej porze dnia - wyglądała niezwykle dostojnie. Kane rozglądał się wokół, ale nie dostrzegł w tłumie nikogo znajomego. Uznał, że przy tak licznej frekwencji to normalne - w końcu w targach wydawniczych uczestniczył po raz pierwszy. Wcześniej swoje CD-ROM-y demonstrował na pokazach komputerowych.

Pomimo głodu to, co zobaczył na półmiskach, wydało mu się mało apetyczne. Nie tknął ani jednej zakąski. Przypomnił sobie o automacie z wodą sodową koło stoiska z pamiątkami, ale nie mógł go znaleźć. Ani wody, ani pamiątek. Odkrył, że ten dom jest labiryntem pokoi. Na domiar złego okropnie zatłoczonych.

- Cholerne małpie przebranie - mruknął pod nosem, próbując rozluźnić kołnierz koszuli. Zrobiło się nieznośnie gorąco i duszno, jakby nagle w całym domu wysiadła klimatyzacja. Zdaje się, pomyślał zrezygnowany, że organizatorzy przyjęcia zbyt gorliwie zadbali o realia historyczne.

Tak czy inaczej, miał tego dosyć. Postanowił zrezygnować z udziału w bankiecie i pójść na cheeseburgera z dużą colą oraz dodatkową porcją frytek. Z

trudem, ale udało mu się znaleźć drzwi wejściowe, a kiedy już przecisnął się przez gęsty tłum ludzi, prawie zderzył się w nich z Susanną.

- Panie mają pierwszeństwo - powiedział z niskim ukłonem, którego natychmiast pożałował. - Jeszcze chwila, a uduszę się przez ten cholerny kołnierz! Nie wiem, jak ty, ale ja mam już dosyć tego cyrku przebierańców. Wybieram się do najbliższego baru na olbrzymiego cheeseburgera z wszystkimi dodatkami.

Kane omal nie przewrócił Susanny, która zbiegając po schodach frontowych tuż przed nim, zatrzymała się jak wryta.

- Coś mi tu nie gra - mruknęła. Zaczęła rozglądać się uważnie wokoło, żeby zrozumieć powód swojego niepokoju. Zawsze ufała przeczuciom. Niektórzy nazywali to skłonnością do abstrakcyjnego myślenia i pochopnego wyciągania wniosków, jej babcia - szóstym zmysłem lub niezwykle intuicją. Tak czy inaczej, przeczucia nigdy jej nie zawiodły.

Naprzeciwko domu, z którego wyszli, znajdował się mały park, jeden z wielu w tej części miasta. Kiedy tu przyjechali, po obu stronach ulicy pełno było zaparkowanych samochodów. Teraz nie widziała ani jednego. Żadnych aut - ani jadących, ani stojących.

- Zniknęły samochody - powiedziała głośno.

- Jakie samochody? - spytał niepewnie Kane. - Przyjechałem tu autobusem.

- Wokół parku widziałam mnóstwo samochodów. Znikły wszystkie.

- Prawdopodobnie tylko w dzień można tu parkować - wyjaśnił Kane.

- Nie. Coś mi tu nie gra. Nie ma żadnego ruchu ulicznego.

- Masz wybujałą wyobraźnię.

- To niebieskie światło na drugim piętrze nie było wytworem mojej wyobraźni. Ty też je widziałeś, prawda?

Kane nie odpowiedział, wpatrzony w kobietę i mężczyznę, którzy minęli ich wolnym krokiem. Mieli na sobie kostiumy podobne do tych, które oglądał na

przyjęciu. Chciał ustąpić im z drogi, myśląc, że wracają na bankiet, ale oni poszli dalej, a potem zniknęli w bramie odległego domu.

Susanna przyjrzała się nie tylko im, ale i kamienicy, do której weszli. Gotowa była przysiąc, że kiedy jechała tu autobusem, tamten dom był pusty i zabity deskami.

- Mówię ci, że mam złe przeczucie - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Złe przeczucie, powiadasz - odparł Kane z kpina w głosie. - A może raczej samopoczucie? Na pewno ci zaszkodziła pasta z krabów.

- Bardzo dowcipne! Nie powiesz mi chyba, że ty tego nie czujesz?

- Ja nie jadam krabów w żadnej postaci.

- Mówię poważnie. Zauważyłeś, do którego domu weszli tamci ludzie?

- Oczywiście. - Wzruszył ramionami. - No i co z tego?

- Byli ubrani...

- W takie same idiotyczne kostiumy jak my. A to znaczy, że impreza odbywa się jednocześnie w kilku domach.

- Możliwe, ale mogłabym przysiąc, że drzwi kamienicy, do której weszli, kilka godzin temu były zabite deskami. A jak wyjaśnisz tamto niesamowite niebieskie światło, które widzieliśmy na drugim piętrze?

- Technika hologramowa. To żadna nowość. Byłaś kiedyś w Disneylandzie?

- Wątpię, żeby właściciele takiego domu mieli pieniądze na bardzo kosztowne efekty specjalne... Zaczekaj! Spójrz na te światła...

- Mówiłem ci, że to hologram.

- Chodzi mi o oświetlenie ulic. To nie jest światło elektryczne.

- Oczywiście, że nie. Znajdujemy się w dzielnicy zabytkowej.

- Nie widzę linii telefonicznych.
- W dzisiejszych czasach używa się kabli podziemnych.
- Nie wszędzie. Zauważyłam, kiedy nas tu wieźli, druty telefoniczne.

Pomyślałam sobie nawet, że strasznie szpecą miasto.

Wtem, tuż obok nich, przejechał powóz konny.

- Atrakcja turystyczna. - Kane wyprzedził pytanie Susanny.

Po chwili minął ich następny powóz, a potem kilku jeźdźców na koniach.

W dalszym ciągu nie dostrzegli ani jednego samochodu, ciężarówki czy autobusu.

- No dobrze, przyznam, że mnie to też trochę dziwi. Chyba przesadzają z tym realizmem historycznym.

- Tym bardziej że nie jesteśmy wcale w najstarszej zabytkowej dzielnicy, tylko w centrum Savannah.

- A za najbliższym rogiem jest wielki bar hamburgerowy - powiedział rozmarzonym głosem.

- Idę z tobą.

- Nie prosiłem cię, żebyś mi towarzyszyła.

- Podobno żyjemy w wolnym kraju - odparła niepewnie. W normalnej sytuacji Kane Wilder byłby ostatnią osobą, z którą chciałaby pójść dokądkolwiek, ale działo się na ich oczach coś, co zdecydowanie odbiegało od normalności. Choćby te brukowane ulice i chodniki - niemożliwe, żeby nie zwróciła na to wcześniej uwagi.

Zbył jej uwagę milczeniem i ruszył przed siebie. Susanna z trudem za nim nadążała, podtrzymywanie bowiem długiej sukni okazało się nie lada sztuką. Omal nie upadła, kiedy Kane, idąc tuż przed nią, gwałtownie się zatrzymał.

- Tu był ten bar. Jestem tego pewien - mruknął gniewnie. - Jakby się zapadł pod ziemię. Co się dzieje? - Kiedy odwrócił się do Susanny, w jego spojrzeniu nie było ani śladu rozbawienia lub drwiny.

- Nie wiem - odparła cicho, myśląc tylko o tym, żeby przewyciężyć panikę. - Mówiłam ci od początku, że mam złe przeczucie.

- Musiałem pomylić kierunek. - Kane ruszył w przeciwną stronę, po to tylko, aby przekonać się, że dwie przecznice dalej również nie ma żadnego baru.

Zmarszczył czoło i spojrzał na Susanę takim wzrokiem, jak gdyby jednej rzeczy był pewien: że to ona jest wszystkiemu winna.

- Co się dzieje z moją głową? Nie wsypałaś mi do szklanki jakiegoś świństwa? A może ten poncz był sto razy mocniejszy, niż mi się wydawało? - Wymówił ostatnie słowo łamiącym się głosem, bo zobaczył następny konny powóz. - Albo mam halucynacje, albo jestem pijany.

- Ja nie wypięłam ani kropli alkoholu i wydaje się mało prawdopodobne, żebyśmy mieli jednocześnie identyczne halucynacje.

- W takim razie to sen. Albo jestem już duchem. Można to sprawdzić tylko w jeden sposób. - Odwrócił się i, ku przerażeniu Susanny, zaczął iść szybkim krokiem w kierunku najbliższej latarni.

- Uwważaj! - krzyknęła, ale w tej samej chwili Kane uderzył czołem w żelazny słup. Objął go kurczowo i zachwiał się.

- Co za głupota! Jak tak można?! Co chciałeś sprawdzić?

- Gdyby to był sen, obudziłbym się. A gdybym nie żył...

- Żyjemy. Nie jesteśmy duchami i nic nam się nie śni - przerwała mu chłodno.

- Zgoda, Einsteinie, więc co my tu robimy?

- Nie jestem tego pewna - zaczęła prawie szeptem, jak gdyby mówienie o tym zbyt głośno mogło przysporzyć im dalszych kłopotów. - Ale zdaje się, że Einstein ogłosił na ten temat teorię naukową - o względności czasu.

- To znaczy?

- To znaczy, że coś się stało. Nie żyjemy już w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku - odrzekła takim tonem, jak gdyby podobna historia przydarzyła jej się nie po raz pierwszy.

Uwagę Susanny przykuło nagle jakieś ogłoszenie na słupie latarni. Westchnęła ciężko, przeczytawszy datę na ręcznie wypisanej ulotce, zapowiadającej przyjazd cyrku do miasta. A więc instynkt jej nie zawiódł.

- Spójrz na to!

- Interesuje mnie tylko lokalizacja najbliższego baru z hamburgerami - syknął z wściekłością, masując guz wielkości gęsiego jaja, który pojawił się na jego czole.

Spojrzała na mężczyznę, zmierzającego w ich stronę. Miał na głowie kapelusz, a w ręku laskę. Bujny zarost z bokobrodami pokrywał mu prawie całą twarz. Zastanowiła się nagle, czy on ich widzi. Czy usłyszałby ich głos?

- Przepraszam pana bardzo - zaczęła go nieśmiało.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, która jest teraz godzina?

Mężczyzna spojrzał na Susannę przenikliwym wzrokiem, co oznaczało, że widzi ją i słyszy. Dzięki Bogu! A więc nie są niewidzialni.

- Proszę bardzo. - Wyjął z kieszonki zegarek. - Kwadrans po dziewiątej.

- Dziękuję. A rok...?

- Cóż to znowu za głupie pytanie? - zawołał oburzony. - Rok mamy naturalnie 1884.

Zaniemówiła z przerażenia. Ten sam rok widniał na ogłoszeniu o przyjeździe cyrku. Wprawdzie podejrzewała, że tak jest... Kiedy jednak usłyszała potwierdzenie swoich obaw z ust przypadkowego przechodnia, poczuła się jak skazaniec. Pryśła ostatnia nadzieja.

Zmierzywszy wzrokiem Kane'a, który wciąż niezbyt pewnie trzymał się na nogach, zgorszony dżentelmen wygłosił uwagę dotyczącą fatalnych skutków nadużywania alkoholu, po czym oddalił się pospiesznie, kręcąc głową.

- Słyszałeś? - szepnęła po chwili Susanna.

- Tak, wziął mnie za pijaka - odpowiedział zirytowany Kane.

- Nie o to mi chodzi. Powiedział, że mamy rok 1884.

- Słyszałem. - Skinął głową, krzywiąc się z bólu. - Staruszek próbował zrobić z nas balona. Chyba mu nie uwierzyłaś, co?

- To by wiele tłumaczyło.

- Tak, z pewnością!

- A jeżeli naprawdę odbyliśmy podróż w czasie? Jeśli cofnęliśmy się o ponad sto lat?

- To absurd, którego nie należy brać pod uwagę. Chodź, udowodnię ci, że się mylisz. - Kane rozejrzał się, chwycił Susanne za rękę i poprowadził w kierunku placu, gdzie zobaczył najwięcej ludzi.

Wszyscy byli w strojach typowych dla schyłku ubiegłego wieku. Spacerowali niemal sami mężczyźni. Światło latarni gazowych wydawało się mniej rażące, jakby rozproszone i delikatniejsze od światła dzisiejszych miast. Susanna chłonęła tę obcą rzeczywistość wszystkimi zmysłami i wszystko zdawało się jej pasować do poprzedniego stulecia. Ostra woń końskiego moczu, miarowy stukot kopyt na traktach z ubitej gliny, chodniki wykładane czerwoną klinkierową cegłą - każdy szczegół!

Wszyscy przechodnie mieli na głowach kapelusze. Poza nią i Kane'em. Rozglądała się dyskretnie, przyglądała ludziom, podczas gdy Kane podchodził do każdego mijanego człowieka i pytał o rok.

Szarpnęła go za rękę, widząc, że odprowadzają ich wyłącznie karcące i podejrzliwe spojrzenia zaczepianych przez Kane'a przechodniów.

- Co masz zamiar dalej robić? Pytać do znudzenia, aż usłyszysz to, co chcesz usłyszeć, czy doczekać się, że ktoś wezwie policję?

- Odkąd to zadawanie prostych pytań jest przestępstwem?

- Przestań - syknęła, wyrywając dłoń z jego żelaznego uścisku. - Jest mi głupio.

- Możliwe, że wpadliśmy w dziurę czasową, a tobie jest głupio? Nie masz się czym martwić?

- Martwię się, że zamkną nas w pace, jeżeli dalej będziesz się tak zachowywał! W dziewiętnastym wieku więzienia i areszty nie przypominały domów opieki społecznej, więc bądź tak uprzejmy i skończ z tym przedstawieniem. Im mniej będziemy zwracać na siebie uwagę, tym lepiej.

Wzięła go pod rękę i pociągnęła w przeciwną stronę. Wolnym, dostojnym krokiem wrócili do miejsca, w którym rozpoczęli spacer.

- To twoja wina - powiedział Kane, dotykając guza na czole. - Coś się musiało zdarzyć, kiedy ogarnęło nas to cholerne niebieskie światło. Po co weszłaś do tej komnaty?

- A tobie nikt nie kazał iść za mną. Zresztą to nie jest właściwa pora, żeby szukać winnego. Musimy wrócić do tamtego pokoju.

- No to chodźmy. Im szybciej, tym lepiej.

- Poczekaj chwilę. W jaki sposób dostaniemy się do środka?

- Normalnie, przez drzwi. - Otworzył je, nim zdążyła zaprotestować. W końcu korytarza zobaczył służącego, który spieszył, aby ich powitać.

- Czym mogę służyć, sir?

- Zapomnieliśmy o czymś - wyjaśnił Kane. - Proszę się nie martwić, sami damy sobie radę.

Na szczęście inny służący, przedzierający się przez tłum gości z wielką tacą, potrzebował natychmiastowej pomocy tego, który otworzył im drzwi. Kane i Susanna przemknęli przez hol i ruszyli w kierunku schodów.

Przekroczywszy próg salonu, Susanna zorientowała się, że bankiet trwa, goście nie ubyło, ale nastrój zebranych wydał jej się tak ponury, jak gdyby odbywała się tu stypa, a nie zwykle przyjęcie. Kiedy jednak dostrzegła Kane'a w połowie schodów wiodących na galerię pierwszego piętra, myślała tylko o tym, żeby nie stracić go z oczu.

Oboje bez przeszkód dotarli na drugie piętro.

- Nie ma żadnego światła! - powiedziała przerażona.

- Zamiast wpadać w panikę, przypomnij sobie dokładnie co robiliśmy. Może odtwarzając wszystko, krok po kroku, wrócimy do punktu wyjścia, czyli do naszych czasów.

- Dobrze. Weszłam na ostatni stopień schodów i zobaczyłam niebieskie światło wydobywające się z pokoju. Od razu zaczęłam iść w jego kierunku, jakby mnie coś przyciągało. W środku komnaty migotały świece, zupełnie jak teraz, a źródło niebieskiego światła kryło się za fotelem bujanym, obok drugich drzwi. Kiedy wyciągnęłam rękę, ono zniknęło, a ja byłam już w następnym pokoju. - Susanna cedziła wolno słowa, wykonując dokładnie każdy ruch, który opisywała.

- Udało się? - zapytał Kane, kiedy oboje stanęli za progiem tajemniczej komnaty. - Jesteśmy w naszych czasach?

- Wątpię - odparła, wyglądając przez okno. - Słuchaj, wiedziałeś, że tu jest lustro, w którym odbija się frontowe wejście? Widać każdego, kto się zbliża do drzwi.

- Czy zamiast paplać bez sensu o meblach - zawołał zirytowany Kane - mogłabyś mi pomóc?

- Nie mam zwyczaju paplać bez sensu - odpowiedziała z godnością. - Zresztą mniejsza o to... Posłuchaj, przypomniałam sobie coś jeszcze. Przez ułamek sekundy widziałam w tym niebieskim świetle twarz kobiety z portretu. Elsbeth.

- No, nie! - jęknął Kane. - Jestem w stanie wyobrazić sobie podróż w czasie, ale numery z duchami to już nie ze mną!

Pomóż mi! Susanna zdrętwiała.

- Słyszałeś?

- Co miałem słyszeć?

- Szept: „Pomóż mi!”

Zdała sobie sprawę, że ten głos - bolesny lament jakiejś kobiety - słyszy tylko ona. Czyżby to... Elsbeth?

To ty nas tu sprowadziłaś? Susanna zadała w myślach to pytanie bezwiednie, nie mając wcale zamiaru podejmować rozmowy z niewidzialnym duchem. Nie dostrzegła żadnego śladu obecności Elsbeth, a jednak czuła coś...

Wzdrygnęła się nagle i zaczęła rozcierać pokryte gęsią skórą ramiona.

Jesteś tutaj? pomyślała. Była pewna, że czuje milczące potwierdzenie, choć nie słyszała głosu.

Ty nas tu sprowadziłaś?

Znowu milczące potwierdzenie.

Ale po co?

Tym razem Susanna usłyszała wyraźny szept:

„Żebyś mi pomogła”.

- Co mam zrobić? - zapytała głośno.

Nie padła żadna odpowiedź, jakby wypowiedziane głośno słowa zakłóciły milczące porozumienie między Susanną a Elsbeth.

- Prosiłem, żebyś mi pomogła.

A więc to właśnie słyszała? To Kane poprosił o pomoc, a ona uroiła sobie rozmowę z duchem?

- Przestań się rozklejać i spróbuj mi pomóc. Posłuchaj uważnie - dodał, widząc wahanie w jej oczach. - Chcesz utkwic w przeszłości na zawsze? Kobiety nie mają tu jeszcze prawa głosu.

Argument Kane'a przywołał Susannę do rzeczywistości. Oczywiście, że musieli znaleźć drogę powrotu do dwudziestego wieku. Co za pomysł z ratowaniem ducha nieszczęśliwej kobiety! Prawdę mówiąc, myślała bezradnie, podróże w czasie też nie należały do codziennych doświadczeń ludzkości.

- Co mam robić? - spytała.

- Spróbuj znaleźć miejsce w ścianie, które ustąpi pod naciskiem ręki.

- A czego będziemy szukać? - spytała obojętnie, zabierając się do wypełnienia jego polecenia.

- Nie wiem. Czegoś niezwykłego. Może wrót czasu?

- Widzę, że jesteś znawcą fantastyki naukowej. - Zaśmiała się nerwowo, nie umiając znaleźć słów, które oddałyby groteskowość ich położenia. Z jednej strony czuła się jak we śnie, z drugiej jednak rzeczywistość, ze swoimi nieubłaganymi szczegółami, pozbawiała ją nadziei, że śni naprawdę.

Centymetr po centymetrze, badali wszystkie ściany pokoju. Nic się nie działo. Mury nie ustępowały. Po godzinie żmudnych wysiłków Susanna, coraz bardziej zniechęcona, zamknęła oczy i wyszeptała trzy razy „Nie ma to jak w domu”.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła ironiczny grymas na twarzy Kane'a.

- Nie patrz na mnie w ten sposób! Dorothy to pomogło.

- Nam, niestety, nie pomogło.

Ni stąd, ni zowąd, wzrok Kane'a, raptownie ożywiony, zatrzymał się na jej dekolcie. Przypomniała sobie oskarżenie, które rzucił jej w twarz przed południem na targach. Mata Hari uwodzająca w niejasnym celu młodszego od siebie, żonatego mężczyznę? Czy tak to mniej więcej ujął?

Zamiast zasłonić ręką dekolt, co miała ochotę zrobić w pierwszym odruchu, Susanna wyprostowała się i zmrużyła oczy, zachęcając tym samym Kane'a do niestosownego komentarza. Usłyszała tylko niewinne pytanie:

- Skąd masz ten naszyjnik?

- A dlaczego o to pytasz? - Zbita z tropu, odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Dlatego, że kobieta na portrecie ma identyczną biżuterię.

- Elsbeth?

Susanna wybiegła na korytarz i zeszła kilka stopni w dół po schodach, żeby sprawdzić, czy Kane ma rację.

Kiedy wchodziła tu godzinę temu, galerię obrazów zasłaniały jej plecy Kane'a. Teraz zobaczyła portret Elsbeth Whitaker obramowany czarną krepu. Nie było jej na pewno, kiedy o tym samym obrazie opowiadał im przewodnik.

- Umarła - powiedziała Susanna zbolalym głosem. - Nie zdążyliśmy jej ocalić.

- Ocalić? - Kane powtórzył jak echo. - Posłuchaj, może nie znam się na podróżach w czasie, ale nawet ja wiem, że nie wolno igrać z takimi sprawami jak życie i śmierć. Wyobraź sobie, że ocalilibyśmy życie tej kobiety, a ona miałaby potem dzieci, które wyrosłyby na zwyrodniałych morderców...

- Więc po co nas tu ściągnęła?

- A kto ci powiedział, że to ona?

- Ja tak sędzę. Czuję to. - Susanna przycisnęła rękę do serca. Nie zamierzała teraz przekonywać Kane'a, że rozmawiała z duchem Elsbeth, ale wiedziała, że nie było to złudzenie. Niczego sobie nie uroiła.

- Czy możliwe, że ta kobieta jest twoją krewną?

- Nie, nie mam żadnych krewnych w Savannah.

- Skąd ta pewność?

- Badałam niedawno historię swojej rodziny, tworząc drzewo genealogiczne z okazji urodzin moich rodziców. Cofnęłam się do 1700 roku i na pewno nie trafiłam na krewnych noszących nazwisko Whitaker.

- W takim razie skąd masz ten naszyjnik? Jest taki sam jak ten na portrecie Elsbeth. Czy w tamtych czasach robiono biżuterię seryjnie?

- Ten komplet na pewno jest unikatowy. Został wykonany na zamówienie dla mojej prababki. - Patrząc w smutne oczy kobiety z portretu, Susanna nie miała wątpliwości, że łączy je coś ważnego, a kluczem do rozwiązania zagadki jest właśnie naszyjnik.

Musiała ułożyć elementy tej skomplikowanej mozaiki w jakąś logiczną całość. Czyżby jej prababka dostała naszyjnik od Elsbeth? Być może dobrze się znały, może nawet przyjaźniły. Tak czy inaczej - o tym Susanna była święcie przekonana - znalazła się tutaj nie bez powodu. Musiała tylko odkryć, z jakiego. Nie zdawała sobie sprawy, że myśląc o tym gorączkowo, mówi do siebie na głos - dopóki Kane się nie wtrącił.

- W jaki sposób chcesz do tego dojść?

- Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o Elsbeth Whitaker.

- Jakim cudem? Spytasz tych ludzi z dołu, dlaczego popełniła samobójstwo?

- Jasne, że nie. Takie natręctwo byłoby raczej w twoim stylu.

- Oczywiście! Bo ty jesteś uosobieniem dyskrecji. Myślałby kto!

- Za pozwoleniem, myśl sobie, co ci się żywnie podoba.

- Boże! - zaśmiał się cicho. - Widzę, że całkiem nieźle zaczynasz się czuć w tej epoce. Doskonale sobie radzisz.

- Masz szczęście, że opracowałam dwie książki o schyłku dziewiętnastego wieku.

- Wielkie dzięki! Nie posiadam się z wdzięczności za to, że mogę ci towarzyszyć w tej fantastycznej podróży!

- Ucisz się w końcu i posłuchaj! Może i ty byś się czegoś konkretnego dowiedział?

- Od ciebie?

- Od tych ludzi z dołu. Im szybciej zrozumiemy, o co tu chodzi, tym łatwiej wrócimy do naszego stulecia.

Zmuszona od dobrych kilku lat uczęszczać na koktajle w zawodowym gronie, Susanna - z natury skryta i dość nieśmiała - opanowała do perfekcji pewną pożyteczną sztuczkę. Stawała gdzieś na uboczu ze spuszczonej oczami, zamyśloną miną i maksymalnie wytężonym słuchem, nastawiona na odbiór toczących się wokół rozmów. Ta prosta technika pozwalała jej znosić najtrudniejszy z obowiązków służbowych w miarę łatwo.

Po jej prawej stronie dwaj brodacie mężczyźni rozmawiali o książce, którą niedawno kupili i przeczytali. Zorientowała się już po chwili, że tematem ich gorącej dyskusji jest „Książę i żebrak” Marka Twaina.

Stojące nie opodal dwie kobiety wymieniały poglądy na temat uroków stanu małżeńskiego.

- Zawsze uważałam, że jeżeli kobiecie zależy na prawdziwie szczęśliwym małżeństwie, musi nauczyć się rezygnować ze swoich ambicji, własnego ja i poświęcić się ukochanemu mężczyźnie.

- Święta prawda. Może właśnie dlatego Elsbeth nie zaznała szczęścia w swoim małżeństwie. Ale żeby skończyć aż tak tragicznie... - Przy ostatnich słowach zniżyły głos do szeptu. - Niewyobrażalny skandal. W naszych kręgach takie rzeczy po prostu się nie zdarzają.

- Otóż to! - przytaknęła gorliwie druga kobieta. - Wahałam się, czy wziąć udział w tym przyjęciu, ale zaproszenie przyjęliśmy kilka miesięcy temu. Mój mąż przekonał mnie, że mimo ponurych okoliczności nie popełnimy nietaktu, ponieważ w istocie to nie bal, tylko spotkanie ludzi interesu. Podręcznik etykiety nie przewiduje tak wyjątkowych sytuacji, pozostało mi więc zaufać w tej sprawie mężowi.

- W każdej sprawie powinnaś mu ufać. Od decydowania są mężczyźni.

W Susannie krew się gotowała z oburzenia, musiała jednak zagłuszyć swoje sumienie feministki i myśleć tylko o własnym bezpieczeństwie. Zorientowała się, że jej strój wzbudza sensację. Suknia pochodziła z czasów o dobre kilkadziesiąt lat wcześniejszych, a wielka torba na ramieniu - zamiast maleńkiej torebki zawieszanej na nadgarstku - wyglądała wprost kuriozalnie.

Spojrzała błagalnie na stojącego niedaleko Kane'a i wzrokiem wskazała mu drzwi. Chwilę później oboje byli z powrotem na ulicy.

- No i czego się dowiedziałas?

- Tego, że kobiety w tych czasach są poniewierane i dają sobie robić wodę z mózgu.

- Świetnie. To niezwykle cenna informacja.

- A więc zdradź mi, czego ty się dowiedziałeś.

- Faceci wciąż rozmawiają o pierwszym meczu baseballowym rozegranym przy świetle elektrycznym w czerwcu zeszłego roku. Odbyło się to

w Fort Wayne, w stanie Indiana. Usłyszałem też, że kilka dni temu koń o imieniu Buchanan zwyciężył w dziesiątym dorocznym derby w Kentucky.

- To wszystko?

- Nie. Dowiedziałem się również, że ci ludzie nie lubią republikanów i nie podoba im się obecny rząd. I mimo że wojna secesyjna skończyła się dwadzieścia lat temu, mówią z pogardą o osiadłych tu „hienach” z Północy - ludziach, którzy dorobili się na zrujnowanym Południu.

- I tak dobrze, że nie znaleźliśmy się tu podczas wojny.

Rozmawiali, spacerując. Noc była duszna, powietrze gęste od wilgoci. Susanna pomyślała ze złością o swoich włosach, których żadne spinki ani klamry nie były w stanie utrzymać dłużej niż godzinę. Beładne, spiralne loczki nad czołem i za uszami doprowadzały ją do szału. Nie znosiła ich. Mruczając pod nosem, poprawiła szpilki podtrzymujące koczek.

- Słuchasz mnie? - spytał niecierpliwie Kane.

- Niezupełnie - odpowiedziała z irytacją. - I przestań się na mnie gapić. Przez ostatnie dwanaście godzin zdążyłam się na wszystko uodpornić.

Ku zdumieniu Susanny, Kane uśmiechnął się - takim specyficznym uśmiechem szulera, który sprawił, że jego niebieskie oczy nabrały kociego blasku. Był naprawdę przystojny.

- Na co... na co tak patrzysz?

- Na ciebie. Nie wpięłaś porządnie szpilki we włosy i zaraz ją zgubisz.

- Gdzie? - Podniosła odruchowo rękę.

- Tutaj. - Musnął palcem jej lewą skroń.

- Aha, rzeczywiście... - powiedziała ze ściśniętym gardłem, wstrząśnięta swoją reakcją na ten zwykły, niewinny dotyk. - Musimy zdecydować, co robić dalej.

- Po pierwsze, powinniśmy zdobyć trochę dziewiętnastowiecznych pieniędzy.

- Masz pomysł, jak to zrobić?

Zamilkli, widząc przed sobą gęstniejący tłum ludzi - niemal wyłącznie złożony z mężczyzn, bo w zasięgu ich wzroku znajdowała się tylko jedna kobieta. Stała przed domem, który wyglądał na tawernę albo zajazd. Susanna nie była znawczynią mody dziewiętnastowiecznej, nie miała jednak wątpliwości, że wyzywająca blondynka, która demonstruje publicznie swoją halkę i nogi, musi uprawiać najstarszy zawód świata.

Na widok Kane'a, który dostrzegł ją w tej samej chwili, dziewczynie zabłyśły oczy.

- Chcesz ją zapytać o rok? - zapytała kpiąco Susanna.

- A jaki by wam odpowiadał? - zagadnęła ich kobieta i natychmiast do nich podeszła. - Zrobię wszystko, na co ten pan ma ochotę. Za ćwierć dolca.

- To dopiero okazja! - parsknęła śmiechem Susanna. - Tandeta za pół ceny.

- Uważaj, do kogo mówisz! - krzyknęła głośno blondynka.

- Dosyć tego, Polly! - W drzwiach stanął mężczyzna w białym fartuchu. - Nie masz nic innego do roboty? Jak szef się dowie, że zaczepiasz klientów, wiesz, co będzie. On tu teraz prowadzi przyzwoity lokal. Zapraszam do środka, sir - zwrócił się Kane'a. - A ty, Polly, zabieraj się stąd razem ze swoją koleżanką.

Susanna nie wierzyła własnym uszom. W 1995 Kane nazwał ją Matą Hari, a w 1884 jakiś facet nie ma wątpliwości, że jest ulicznicą. Może to perfumy? A może sposób poruszania się?

- Ja nie jestem koleżanką Polly.

- Zgadza się - potwierdził Kane. - Przyszliśmy razem.

- Błagam o wybaczenie, sir. Nie chciałem nikogo urazić. Wszystko przez to, że niewiele przyzwoitych kobiet zagląda do nas.

- To ja uczynię to pierwsza! - Co powiedziawszy z wyższością, Susanna weszła do lokalu. Zatrzymało ją, tuż za progiem, kilkadziesiąt par wlepionych w nią oczu.

- Zrzedła ci mina? - szepnął jej do ucha Kane.

- Wychodzimy stąd.

- Nie. Powiedziałem ci, że musimy zdobyć jakieś pieniądze.

Spojrzała na niego osłupiałym wzrokiem.

- Ale ja ich nie zarobię w taki sposób jak Polly!

- Co za pomysł! - Kane zganiał Susannę szorstkim głosem, zupełnie nie pasującym ani do płomiennego spojrzenia, którym prześliznął się po jej dekolcie, ani drżenia palców, którymi obejmował jej nagie ramię. - Postój tu przez chwilę.

Kiedy podszedł do baru, żeby porozmawiać z barmanem Jedem (tak nazywała go Polly), Susanna stanęła tuż za nim, wystarczająco blisko, żeby nikomu nie przyszło do głowy jej zaczepić, zbyt jednak daleko, żeby usłyszeć, o czym Kane rozmawia z Jedem. Przeszując z nogi na nogę, wachlowała się prawą dłonią. W tawernie było niewiarygodnie gorąco i duszno.

Przypomniała sobie czyjeś powiedzenie o tym, że ludzie tęsknią tylko za tym, co utracili. Jakże tęskniła teraz za wygodami życia w dwudziestym wieku! Klimatyzacją, odświeżaczami powietrza, dezodorantami...

- Wychodzimy? - spytała z nadzieją w głosie, kiedy po kilku minutach Kane skończył rozmowę z barmanem.

- Nie. Zagramy w pokera. Mówiąc ściślej, ja zagram, a ty będziesz się temu spokojnie przyglądała.

- Oczywiście żartujesz.

- Mówię poważnie.

- To niby jak masz zamiar grać w pokera bez pieniędzy?

- Przypuszczam, że na wejście do puli mógłbym zaproponować cię.

- Spróbuj i będzie po tobie.

- Przewidziałem taką odpowiedź. Trudno, wykorzystamy twoje klejnoty.

- Jakie „my”?! Czy zakładałam z tobą spółkę szulerską? Zapomnij o mojej biżuterii!

- A masz lepszy pomysł?
- Musi być jakieś inne wyjście...
- Możliwe, ale nie mamy czasu, żeby go szukać. Jesteśmy bez grosza.

Sama zauważyłaś, że jeżeli będziemy się tak włóczyć bez celu i rzucać w oczy szacownym obywatelom tego miasta, wylądujemy za kratkami. - Objął ją ramieniem i pociągnął za sobą. - Jed mi powiedział, że w pokoju za barem zaczynają właśnie grę. Tylko nie próbuj się wtrącać i nie urządzać żadnych scen. Jeśli wolisz, możesz poczekać na zewnątrz z Polly.

Tego nie chciała. Nie miała na razie lepszego pomysłu na zdobycie pieniędzy. Nie zamierzała też wylądować w dziewiętnastowiecznym kryminale.

Na wejście do puli przez Kane'a Susanna musiała poświęcić dwa złote pierścionki. Każdy jej gest, każde poruszenie wzbudzało zainteresowanie mężczyzn stłoczonych w zadymionym pokoju na zapleczu tawerny.

Nie tracąc zimnej krwi, zastanawiała się, czy to woń cygar doprowadza ją do mdłości, czy raczej tempo, w jakim Kane przegrywał. Przed kolejnym rozdaniem poprosił ją o bransoletkę.

- To moja...
- ...ulubiona bransoletka. Wiem - odparł krótko. - Kupię ci inną.

Choć przegrywał, wyczuła w jego głosie stuprocentową pewność siebie. Wręczyła mu inkrustowaną granatami złotą bransoletę, a potem kolczyki. Odmówiła jednak zdecydowanie zdjęcia naszyjnika.

Patrzyła z przerażeniem, jak topnieje przed nim stos monet. Kiedy została tylko jedna, Kane, jakby czytając w jej myślach, spojrział na nią ostrzegawczym wzrokiem.

- Panowie, wychodzi na to, że znalazłem się w nieco kłopotliwym położeniu.

- To niedobrze - powiedział mężczyzna o nazwisku Bellows, najrozmowniejszy ze wszystkich i nie rozstający się z cygarem. - Wychodzi więc na to, że ja wygrałem.

- Nie ma pośpiechu - odparł Kane. - Został naszyjnik mojej żony.

- Trochę mało, żeby mnie przebić.

W pokoju zapadła martwa cisza, którą zakłócił nagle sygnał elektronicznego zegarka.

- Co to? - spytał Bellows.

- Mój zegarek.

- Nigdy nie słyszałem, żeby zegarek wydawał taki dziwaczny dźwięk.

- Bo to bardzo niezwykły zegarek. - Kane wyciągnął rękę i odsłonił nadgarstek.

- To ma być zegarek? Bez tarczy i wskazówek?

- Nie potrzeba wskazówek. Godzinę pokazują te cyfry.

- Dorzuć pan ten swój dziwny zegarek i gramy dalej.

- Zgoda.

Susanna po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie zna się na pokerze. Nie miała pojęcia, czy Kane ma jakąkolwiek szansę. Zbladła, a to wyraźnie rozochociło Bellowsa i jego kompanów. Przykryła dłonią naszyjnik i z zaciśniętymi powiekami zaczęła się modlić. Kiedy mężczyźni przy stole karcianym jęknęli jak na komendę, nie wiedziała, czy cieszyć się, czy płakać.

Otworzyła wreszcie oczy i zobaczyła, że Kane przesuwa w jej kierunku imponujący stos monet i papierowych banknotów.

- Wygraliśmy?

- Wygraliśmy - odpowiedział spokojnie, a potem chwycił ją w ramiona i, kompletnie oszołomioną, zaczął całować.

Nie był to odruch radości, lecz gwałtowny namiętny pocałunek mężczyzny, który świadczył, że Kane jest głodny i wypiłby z niej wszystkie soki, gdyby tylko mógł... Nikt nigdy dotąd nie całował jej w ten sposób.

Wstrząśnięta, ale też zachwyconą tym, co czuła, Susanna nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Kiedy podniosła na chwilę wzrok, zobaczyła w oczach Kane'a identyczne zdziwienie i nie mniejszy zachwyt.

- Dziękuję wam, panowie - zwrócił się Kane do towarzyszy gry, wprawnym gestem zgarniając do kieszeni wygraną.

- Chwileczkę, sir - zaprotestował Bellows. - Proszę dać nam szansę na rewanż.

- Z przyjemnością, ale przy następnej okazji. Muszę mieć na uwadze zdrowie małżonki. Czy któryś z panów mógłby nam polecić jakiś przyzwoity pensjonat, najlepiej w niezbyt odległej dzielnicy?

- Dwa kwartały stąd - powiedział bez zastanowienia Bellows. - Wyjdzie pan z tej budy i pójdzie w prawo.

- Dziękuję. - Ukłoniwszy się na pożegnanie, Kane oddał Susannie biżuterię, podał jej ramię i wyprowadził z tawerny.

Susanna westchnęła z ulgą, rozkoszując się świeżym powietrzem i dopiero po chwili niepewnie spojrzała na Kane'a.

- Uff... Masz szczęście, że tak to się skończyło.

- Szczęście nie miało z tym nic wspólnego.

- Chcesz powiedzieć, że ich oszukałeś?

- Ależ skąd. Jestem doświadczonym pokerzystą.

- Jasne. I pewnie dlatego przegrywałeś.

- Właśnie. Założyłem przynętę, a oni połknęli haczyk. - Uśmiechnął się, widząc niedowierzanie w jej oczach. -

Posłuchaj, jestem bardzo doświadczonym informatykiem. Kilka lat temu stworzyłem program komputerowej gry w pokera, który aż do dziś uchodzi za najlepszy. Sprzedajemy go jak ciepłe bułeczki, Więc jeśli ci mówię, że dobrze wiedziałem, co robię w tej szulerni, to po prostu mi uwierz, zgoda?

- Nie, żadna zgoda! - Ze złości pociemniało jej w oczach. Wyrwała się Kane'owi i zaciśniętą w pięść dłońią uderzyła go w ramię.

- Au! Za co mnie bijesz?

- Za to, że umierałam ze strachu! Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- Chciałabyś, żeby oni wyczytali prawdę z twojej twarzy? To by dopiero była głupota! Dzięki temu, że wyglądałaś na kompletnie spanikowaną, wszystko poszło jak trzeba.

Susanna zastanawiała się, czy pocałunek, którego smak jeszcze czuła na ustach, był tylko częścią jego mistrzowskiego planu. Przeczucie jej podpowiadało, że jednak nie. Kilka minut temu oczy Kane'a płonęły pożądaniem, które poraziło ich jak nagły piorun i w równym stopniu zaskoczyło.

- Hej, poczekaj... - Susanna zauważyła nagle, że nie idą wcale tam, dokąd poradził im się udać Bellows. - Ten pensjonat miał być dwa kwartały stąd, ale my zmierzamy w przeciwnym kierunku.

- Pogadałem wcześniej z barmanem. Podobno to zwykła nora, a nie pensjonat. Nie martw się, Jed podał mi adres jakiegoś przyzwoitego hotelu. Za piętnaście minut będziemy na miejscu.

Przez pięć minut szybkiego marszu Susanna z trudem dotrzymywała kroku Kane'owi. Miała wrażenie, że jej aksamitna suknia waży ze czterdzieści kilogramów i z każdym krokiem staje się cięższa.

- Jeśli rozmawiałeś wcześniej z Jedem, to po co pytałeś tamtych ludzi o pensjonat?

- Po to, żeby ci faceci wiedzieli, gdzie mnie szukać, gdyby im przyszło do głowy odzyskać swoje pieniądze, czyli nas okraść.

- Podejrzliwy jesteś, prawda?

- Po prostu ostrożny.

Kiedy dziesięć minut później Kane uraczył Susannę następną niespodzianką, pomyślała, że powinna nauczyć się od niego zarówno podejrzliwości, jak i ostrożności.

- Wynająłem już dla nas pokój - oświadczył ze stoickim spokojem.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Dla nas? Jeden pokój? - powtórzyła Susanna z niedowierzaniem, odpychając od siebie Kane'a. - Będą nam potrzebne dwa pokoje.

- Fakt. Potrzebujemy dwóch pokoi.

- Tak też myślałam.

- Niestety, pieniędzy wystarczy nam tylko na jeden, a to znaczy, że...

- Że postradałeś zmysły, jeśli sądzisz, że zgodzę się na wspólny pokój!

- Sam już kilka razy dzisiaj miałem wątpliwości co do stanu własnego umysłu - powiedział ze stoickim spokojem. - Nie zmienia to jednak faktu, że stać nas tylko na jeden pokój. Spójrz, jesteśmy na miejscu. Nie zapominaj, że jesteś moją żoną, a żony w tych czasach milczą i są posłuszne.

- Marzenie każdego faceta - odparowała z gniewem. - Niestety, wbij sobie do głowy, że w każdych czasach było mnóstwo silnych kobiet.

- A ja jestem szczęściarzem, który przypadkiem ma do czynienia z jedną z nich, na dodatek wyjątkowo upartą. Wchodzimy do środka? Przypomnę ci twoje własne słowa, że nie powinniśmy zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi.

- Zameldujemy się w pensjonacie bez bagażu? Ani jednej walizki? Uważasz, że to nie wzbudzi podejrzeń?

- Spokojnie. Nic nie kombinuj, tylko milcz.

- Zastanawiam się dlaczego, o tej porze w nocy, mieliby nam otworzyć?

- Dlatego, że się nas spodziewają.

- Czyżby? Zarezerwowałeś nocleg telefonicznie? Może posłużyłeś się też kartą kredytową?

- Posługuję się przede wszystkim zdrowym rozsądkiem.

- Ciekawe - mruknęła pod nosem. - Nie wiedziałam, że coś takiego posiadasz.

- Jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz - odrzekł - Dobry wieczór. -
Uklonił się kobiecie, która uchyliła ostrożnie drzwi. - Czy mam przyjemność
powitać panią Broadstreet? Jed Paines z tawerny City zapewnił, że będzie nas
pani oczekiwała. Nazywam się Kane Wilder, a to moja żona, Susanna.

- Ach tak! Jesteście tym małżeństwem, któremu skradziono bagaż na
dworcu kolejowym. Serdecznie witam. Proszę wejść. Tak, Jed przysłał gońca,
który mi o wszystkim opowiedział. Byliście państwo na ważnym przyjęciu i stąd
ta późna pora...

- W rzeczy samej - odrzekł Kane.

- Tak, no cóż, zazwyczaj nie przyjmuję gości bez listu polecającego, ale
wiem, że intuicji Jeda mogę zaufać. Mało kto zna się tak dobrze na ludziach.

- Doprawdy? - wyrwało się Susannie, która miała odmienne zdanie na
temat intuicji Jeda. Przecież ten facet wziął ją za ulicznicę, koleżankę Polly!

- Cóż za rozpaczliwe położenie. Współczuję! Zostać okradzionym ze
wszystkich kufrów! Dobrze, że przynajmniej ta jedna torba państwu została. -
Pani Broadstreet przyglądała się z zaciekawieniem torbie Susanny. - Nigdy
takiej nie widziałam. Ale trudno się dziwić, Savannah to nie Nowy Jork i nie
zawsze nadążamy za modą. A jeśli chodzi o kufry, mam nadzieję, że
zawiadomili państwo o kradzieży odpowiednie władze?

- Oczywiście - odparł Kane. - Ale nie dano nam wiele nadziei na
odnalezienie bagażu.

- Mój Boże, cóż to za okropne czasy! - Pani Broadstreet pokręciła
bezradnie głową. - Nikt dzisiaj nie może czuć się bezpiecznym. Jeżeli prezydent
Stanów Zjednoczonych ginie zamordowany na dworcu kolejowym...

- Myślałem, że Lincoln zginął w teatrze - przerwał jej niefortunnie Kane.

- Miałam na myśli zabójstwo prezydenta Garfielda trzy lata temu.

- Ach tak...

- Proszę wybaczyć mężowi - powiedziała Susanna. - Mamy za sobą ciężki
dzień.

- Rozumiem, naturalnie. Zaprowadzę państwa do pokoju.

Zatrzymali się na pierwszym piętrze, przed ostatnimi drzwiami w korytarzu.

- Pomyślałam, że będzie państwu potrzebna nocna bielizna - powiedziała pani Broadstreet, zanim weszła do środka. - Ułożyłam ją na łóżku. Pani Wilder, moja córka zaofiarowała się pożyczyć pani jakąś garderobę. Jeśli zaś chodzi o pana, panie Wilder, mój nieboszczyk mąż był podobnej postury, więc kilka rzeczy, które po nim zachowałam, powinny pasować jak ulał.

- Dziękujemy pani.

Z wahaniem w głosie właścicielka pensjonatu przeszła do spraw finansowych. Widząc, że Kane'owi nawet nie drgnęła powieka, kiedy wymieniła konkretną sumę za tygodniowy pobyt z wyżywieniem, dodała nieco śmielej:

- Płatne z góry, jeśli łaska.

Kane sięgnął do wewnętrznej kieszeni fraka. Odliczając pieniądze, starał się nie zdradzić, że ogląda takie banknoty po raz pierwszy w życiu i nie zna na pamięć nominałów.

Susanna tymczasem zastanawiała się gorączkowo, w jaki sposób, w 1884 roku, wypada zapytać o toaletę.

- Czy w naszym pokoju jest łazienka? - spytała z nadzieją w głosie.

- Łazienka? - powtórzyła pani Broadstreet, wyraźnie skonfundowana. - Mamy miedzianą wannę w pokoju na drugim końcu korytarza.

- A toaleta? Ustęp? - szukała rozpaczliwie właściwego słowa.

- Wygódka jest w podwórzu.

W podwórzu? Susanna czuła, że za chwilę zemdleje. Jak można nazywać takie miejsce wygódką?

- Albo, jeśli pani woli, jest tutaj takie nowoczesne urządzenie... Mój mąż, na krótko przed swoją przedwczesną śmiercią, uparł się, żeby to zainstalować. Wymógł na mnie obietnicę, że raz na kilka dni będę wlewała do środka wiadro wody. Robię, jak kazał, ale na tym koniec.

Była to prawdziwa toaleta - może najbardziej zabytkowa, jaką Susanna widziała w swoim życiu, ale jednak nie wychodek, nie wygodka, tylko toaleta, z drewnianą deską i łańcuchem do spuszczenia wody.

- Nie będę państwa dłużej zatrzymywać. W dzbanku jest świeża woda do mycia, lampę już zapaliłam. O której godzinie życzą sobie państwo zjeść śniadanie?

- O dziewiątej, jeśli można.

- Oczywiście. Życzę państwu dobrej nocy.

Pokój umeblowany był skromnie - podwójne łóżko, toaletka, na której stała miska w kwiatki i dzbanek z wodą, lustro, parawan z cienkiej tkaniny rozpiętej na drewnianej ramie, a w kącie bujany fotel. Na wyklejonych papierową wzorzystą tapetą ścianach nie wisiał ani jeden obraz. Światło, osłonięte kloszem z grawerowanego szkła, znajdowało się we wnęce ściennej koło lustra.

- Lampa na gaz - powiedział Kane.

Susanna skrzywiła się podejrzliwie. Kiedy była dzieckiem, nieostrożni monterzy spowodowali wybuch gazu w domu ich sąsiadów. Dwie osoby zostały ciężko ranne. Następnego dnia jej matka kupiła kuchenkę elektryczną i odtąd już nigdy ani ona, ani jej rodzice nie używali gazu.

- Jak to się gasi? - zapytała ponurym głosem.

- Tak jak kuchenkę gazową. Pod spodem jest zawór.

- W domu mam elektryczną kuchenkę.

W domu. Brzmienie tego słowa ukuło ją boleśnie w serce. Kiedy wróci do swego domu i zobaczy się z rodziną?

- Nie wiem, kiedy wrócimy do swoich domów. - Kane myślał o tym samym.

- Co prawda w Nowym Jorku miałam zjawić się dopiero we wtorek, ale jutro zauważą moją nieobecność na konferencji. Wyobrażam sobie reakcję szefa na bajeczkę o „podróży w czasie”!

- Za mną też będą tęsknić.
- Pewnie zostawiłeś dziewczynę... - wyrwało jej się niechcący.
- Nie. Miałem na myśli moją firmę.
- Jasne... Powiedz mi: na czym może polegać taka podróż w czasie?

Rozumiesz coś z tego? Czy czas w obu stuleciach upływa tak samo?

- Gdybyś zadała mi takie pytanie wczoraj, powiedziałbym, że to czysta fantazja. Ale nie dziś! Z tego, co zapamiętałem z teorii Einsteina, czas postępuje w niezmiennym tempie... Cholera! Gdybym miał przy sobie laptopa, sprawdziłbym to w ciągu sekundy. Ale skąd mogłem wiedzieć...?

- Chcesz powiedzieć, że bez komputera jesteś bezradny jak dziecko? No tak! Założę się, że nie pamiętasz żadnego numeru telefonu. Wszystkie informacje zostały ulokowane w pamięci elektronicznej, zgadza się?

Jakby na potwierdzenie jej słów, zabrzączał zegarek Kane'a.

- Boże, ci chłopcy ze swoimi zabawkami - mruknęła do siebie, kręcąc głową.

- Wyobraź sobie, że ta zabawka zakodowała trzydzieści numerów telefonów, pokazuje czas miejscowy w kilkudziesięciu miastach świata, budzik można nastawić na sześćdziesiąt różnych dźwięków...

- No i co z tego? Tutaj do niczego nam się nie przyda.

- Czyżby? Dzisiaj mój zegarek pomógł nam wygrać w karty.

- Tak czy inaczej, radziłabym ci go zdjąć, żeby nie wzbudzał niepotrzebnie sensacji,

- Nie lubię się z nim rozstawać. Mogę po prostu wyłączyć alarm.

- Posłuchaj, co ci powiem, bo nie chciałabym, żeby zdarzały nam się takie wpadki jak z Lincolnem. Powinnam wtłoczyć ci do głowy trochę wiedzy na temat czasów, w których się znaleźliśmy. Mówiłam ci, że redagowałam niedawno książkę o epoce wiktoriańskiej. Jej nazwa pochodzi od imienia królowej Wiktorii.

- Tyle to ja też wiem - obruszył się Kane.

- W Ameryce bardziej znana jest nazwa, którą wymyślił dla swoich czasów Mark Twain - „Wiek pozłacany”. Trafił w sedno: u schyłku dziewiętnastego wieku rozpoczynał się okres nadmiernej konsumpcji, bezlitosnej pogoni za zyskiem.

- To przypomina mi lata osiemdziesiąte naszego wieku.

- Znalazłoby się więcej podobieństw. Były to czasy gwałtownego postępu technicznego. Wynaleziono prąd, telefon, ruchomy obraz, technikę rejestrowania dźwięków.

- Sto lat później mieliśmy przełom w informatyce - komputery, komunikację komórkową.

- Właśnie. A z drugiej strony gigantyczne nadużycia, afery, manipulowanie giełdą. Fortuny powstawały i upadały.

- Więc kto jest w tej chwili naszym prezydentem?

- Chester A. Arthur.

- Coś takiego. Jak to możliwe, że mamy prezydenta, o którym nigdy w życiu nie słyszałem?

- Szybko o nim zapomniano. Biedak był wiceprezydentem i musiał zastąpić zamordowanego Garfielda. Nie dostał nawet nominacji własnej partii na następną kadencję. Zastanawiam się, co jeszcze...

- Baseball robi furorę.

- Tak. A nowością wydawniczą jest „Książę i żebrak” Marka Twaina. A wiesz, co się w tych czasach jada?

- Nie, tylko mi nie mów o jedzeniu. Sto jedenaście lat temu wyszedłem na hamburgera i do tej pory jestem głodny.

- Zdaje się, że mam coś, co uratuje nas od śmierci głodowej. - Susanna zajrzała do torby i wyjęła z niej wszystko, co nadawało się do jedzenia: jabłko, paczkę herbatników, dwa batony czekoladowe, kilka torebek słonych orzeszków, opakowanie gumy do żucia, tackę suszonych owoców, dropsy miętowe i pojemnik z sałatą.

- Proszę bardzo, mogę się z tobą podzielić.

Patrzył z rozbawieniem na Susannę, która sięgnęła po jabłko, wbiła w nie mocno zęby, a potem jadła z zamkniętymi oczami, mruczając z zadowolenia. Rozpakował baton, nie odrywając od niej wzroku, coraz bardziej oczarowany. Wyobraził sobie, że pozuje do portretu Ewy kuszącej Adama. Jej nagie ramiona i dekolt wydawały się równie delikatne jak aksamit czerwonej sukni. Była piękna. Ale, podobnie jak Ewa, była niebezpieczna. Omal nie zrujnowała małżeństwa jego brata, a o tym Kane nie chciał i nie miał prawa zapomnieć.

- Prawda! Nie przeliczyłem jeszcze swojej wygranej...

- Naszej wygranej - powiedziała stanowczo Susanna.

Kiedy Kane zabrał się do segregowania i liczenia nie znanych mu banknotów, Susanna postanowiła zrobić remanent w swojej torbie. Najwięcej miejsca zajmował w niej odtwarzacz kasetowy i torebka z kosmetykami. Co za szczęście, że nie zostawiła jej w hotelu! Z nie mniejszą ulgą dogrzebała się do kompletu zapasowej bielizny i fiołki z lekarstwem.

- Jeżeli nie będziemy szastać forszą, przeżyjemy przez miesiąc - oświadczył Kane.

- Miesiąc?! Nie możemy zostać tu przez miesiąc. Mam przy sobie zapas pigułek na szesnaście dni... - wyrwało jej się mimo woli.

- Jakich pigułek? - spytał podejrzliwie.

- Nie twój interes.

- Nieźle. Trafiła mi się podróż w wiek dziewiętnasty w towarzystwie lekomanki!

Mogła mu przecież powiedzieć o chorobie serca, która nie przeszkadzała jej w normalnym życiu, w niczym nie ograniczała, pod warunkiem, że będzie stale zażywała leki - ale po tym, co usłyszała? Nie! W ogóle nie miała ochoty z nim rozmawiać. Na żaden temat.

- Posłuchaj! Kiedy wszedłeś mi w drogę po raz pierwszy, pomyślałam, że jesteś po prostu idiotą. Teraz zmieniam zdanie. Jesteś tępym, prymitywnym, źle wychowanym idiotą!

Chwyciwszy z łóżka płócienną nocną koszulę, schowała się za parawanem przy toalecie.

- Susanno...

- Nie rozmawiam z tobą - powiedziała lodowatym głosem, zdejmując przez głowę ciężką suknię, której miała równie dosyć jak towarzystwa Kane'a.

Gdy rozebrała się do naga, miała uczucie, że jest o kilka kilogramów lżejsza, a kiedy jeszcze udało jej się całkiem sprawnie odbyć wieczorną toaletę w misce wody - była prawie szczęśliwa.

Dobry nastrój prysł, kiedy wyszła z za parawanu i spojrzała na Kane'a. Leżał na łóżku w rozpiętej koszuli, z rękami pod głową, z nieruchomym spojrzeniem i bezczelnym uśmiechem przyklepionym do twarzy.

Podążając za jego wzrokiem, nareszcie zrozumiała. Światło przy toalecie, padające na białą cienką tkaninę parawanu, dawało efekt teatru chińskich cieni. Podglądał ją. Widział każdy jej ruch, kiedy się myła i przebierała.

- Ty obleśny zboczeńcu! - Wyrwała mu spod głowy poduszkę i wymierzyła nią cios prosto w jego brzuch.

Kane najwyraźniej nie miał zamiaru się kajać. Jedną ręką odrzucił poduszkę, drugą chwycił Susannę za nadgarstek i gwałtownym szarpnięciem przewrócił ją na siebie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zanim straciła równowagę i upadła, zobaczyła w oczach Kane'a wyraz pożądania. Teraz już nic nie widziała. Leżała na jego półnagim torsie z zamkniętymi oczami, próbując się uspokoić.

Wspomnienie pocałunku w tawernie powróciło ze wszystkimi szczegółami. Z twarzą przytuloną do szyi Kane'a czuła pulsowanie jego tętna, ciepło oddechu, każde poruszenie jabłka Adama, kiedy z trudem przełykał powietrze. Pod jej dłonią biło jak oszalałe jego serce.

Resztki świadomości mówiły jej, że powinna wstać, wyrwać się natychmiast, ale była jak sparaliżowana. Z udami przyciśniętymi do jego bioder nie miała wątpliwości, jakie wrażenie zrobił na nim striptiz za parawanem.

Uniosła się gwałtownie na rękach i spojrzała Kane'owi w oczy. Skąd w nich tyle dzikiego głodu? Czy ona patrzyła na niego w taki sam sposób? Boże, tylko nie to, myślała przerażona. Im bardziej miała ochotę opaść na niego łagodnie i powtórzyć tamten pocałunek, tym większa ogarniała ją panika.

Kiedy spotkały się ich wargi, nie była pewna, czy zdobyła się na to sama, czy sprowokował Kane. Całowali się tym razem delikatnie, bez pośpiechu, zachwyceni podnieceniem, które wciąż narastało i lada chwila mogło wybuchnąć prawdziwym szaleństwem.

Nie, to niemożliwe! Nie pójdzie do łóżka z człowiekiem, który kilka godzin temu oskarżył ją o zdemoralizowanie swego brata.

Kiedy wyrwała się z objęć Kane'a i usiadła na brzegu łóżka, po raz pierwszy zauważyła białą moskitierę, zsuniętą i przywiązaną do czterech słupków podtrzymujących baldachim. Czyżby...? Na widok otwartego okna, bez siatki przeciw komarom, ostatecznie pozbyła się romantycznego nastroju.

- Poczekaj chwilę... Kiedy medycyna uporała się z żółtą febrą?

- Słucham? - Otworzył ze zdziwienia usta. Dosłownie przed chwilą trzymał w ramionach kobietę, której usta prosiły o pocałunek, oczy płonęły pożądaniem, i nagle ni stąd, ni zowąd ona zaczyna wypytywać go o żółtą febrę. Może podejrzewa, że jest chory?

Być może jest chory. To by tłumaczyło gorączkę, której dostawał na jej widok. Ich pierwszy pocałunek w tawernie omal nie ściął go z nóg. Zrozumiał, dlaczego Chuck oszalał na jej punkcie. Susanna jest kobietą stworzoną do miłości. To wulkan seksu.

- Pytam o żółtą febrę - powtórzyła dobitnie. - Kiedy wynaleźli na nią lekarstwo?

- W czasie budowy Kanału Panamskiego. Tak mi się wydaje.

- Dobrze, ale w którym roku?

- A skąd mam, do diabła, wiedzieć? - warknął.

- W takim razie mowy nie ma, żebym spała na podłodze i dała się ukąsić jakiemuś cholernemu komarowi.

- Czyli śpisz ze mną?

Tym razem charakterystyczny, maślany wyraz oczu Kane'a nie zrobił na Susannie żadnego wrażenia.

- Ta perspektywa jest jeszcze mniej kusząca niż zachorowanie na żółtą febrę - odparowała ze złością. - Nie. Nie będę z tobą spała.

- To znaczy, że będziemy robili w tym łóżku coś zupełnie innego?

- Będziemy dzielić to łóżko. Kropka. Nic więcej. Łoże jest tak wielkie, że zmieścimy się w nim oboje. Poza tym możemy położyć między sobą zrolowaną kołdrę, która w taki upał do niczego innego nam się nie przyda.

- No właśnie. Nie ubrałaś się za ciepło... do snu? - spytał drwiąco.

- Rozebrałam się na tyle, ile trzeba - syknęła. Nocna koszula zakrywająca jej ciało od szyi po kostki nie była, oczywiście, strojem, w jakim zazwyczaj sypiała, ale o krótkiej jedwabnej koszulce, którą zostawiła w hotelu, mogła na razie tylko pomarzyć.

- Nie masz zamiaru zdjąć z siebie tej drogocennej biżuterii nawet na noc?
Zaskoczona, dotknęła ręką naszyjnika. Kane miał rację.

- Boisz się, że cię okradnę? Śpij spokojnie. Nie masz niczego, na czym by mi zależało.

Kłamał. Powiedziała mu to wzrokiem.

- Dobrze, powiem inaczej. Nie masz niczego, co chciałbym ci koniecznie zabrać. Oczywiście, jeżeli coś chciałabyś mi oddać...

- Dostałeś już jedyną rzecz, którą mogłeś ode mnie wyłudzić. Batonik czekoladowy!

- I kilka krakersów, nie mówiąc o dwóch pocałunkach.

- Wolalabym, żebyś o nich nie wspominał. I nie próbował powtarzać tego eksperymentu. - Zmroziła go lodowatym spojrzeniem, a potem zdjęła biżuterię i schowała ją do jedwabnego pikowanego woreczka. - Zaskoczyłeś mnie, przyznaję. Gdyby nie to, zgiąłbyś się wpół i mówił cienkim głosem co najmniej przez tydzień. Ja potrafię się bronić, uprzedzam.

- Spodziewałem się tego - mruknął obojętnie, ale ze sposobu, w jaki się w nią wpatrywał, łatwo mogła wywnioskować, że to nie umiejętność samoobrony robi na nim największe wrażenie.

- Powinniśmy chyba ustalić, co robimy dalej. Masz jakiś pomysł?

- Jak to? Myślałem, że już wszystko ustaliliśmy. Będziesz spała ze mną.

- Chodzi mi o Elsbeth. Musimy dowiedzieć się o niej czegoś więcej. To ona jest kluczem do całej tej historii. Ta kobieta nas tu ściągnęła, więc powinniśmy zrozumieć, po co.

- Wciąż mi się nie chce wierzyć, że znaleźliśmy się w ubiegłym wieku - przyznał Kane.

- Naprawdę? Więc z iloma latarniami chcesz się jeszcze zderzyć?

- Mam nadzieję, że obudzę się jutro w swoim pokoju hotelowym. Nie mam czasu na wygłupy!

- Okazuje się, że czas jest czymś takim, na co nie mamy wpływu.

Doświadczyliśmy tego na własnej skórze.

Kane nie odpowiedział, rozpiął tylko resztę guzików koszuli i zamknął oczy.

- Nie masz zamiaru się rozebrać? - spytała zdziwiona.

- Nie. Koniec przedstawień na dzisiaj. Zgaś światło.

- Sam je zgaś - wycedziła zdenerwowana, układając zrolowaną kołdrę pośrodku łóżka.

Kiedy Kane podniósł się, opuściła po swojej stronie moskitierę, podwinęła ją pod materac i z ulgą opadła na poduszkę.

Niestety, lampa zgasła, pokój pogrzyzył się w ciemnościach, a mrok nie przyniósł jej ukojenia. Boże, Kane miał rację! Nawet w myślach, do siebie, zaczęła mówić językiem sprzed stu lat.

I jak przystało na panienkę z epoki wiktoriańskiej, czuła, że ogarnia ją melancholia. Łzy popłynęły jej z oczu, kiedy uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna i zagubiona.

Idea podróży przez czas większości ludzi musi wydawać się romantyczna i ekscytująca, ale rzeczywistość, w której znalazła się Susanna - a raczej nie umiała się znaleźć - budziła w niej coraz większe przerażenie.

Szczęśliwie miała jakieś pojęcie o epoce, ale przecież nie była jej znawczynią! Nie wiedziała, na przykład, czy wynaleziono już lekarstwo na żółtą febrę, choć taka informacja mogła jej się bardzo przydać.

Więc po co to wszystko? Dlaczego znalazła się akurat tu i teraz? W spokojnej dzielnicy wiktoriańskiego Savannah, w małżeńskim łóżu z facetem, który tak wspaniale całował i robił wszystko, żeby wyprowadzić ją z równowagi.

Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że bywały gorsze czasy i gorsze miejsca, ale to w niczym nie zmieniało faktu, że tęskniła za domem.

„Musisz mi pomóc”.

Te słowa wdarły się niepostrzeżenie do jej świadomości. Słyszała je wyraźnie, wypowiedziane kobiecym głosem.

- Elsbeth? - szepnęła niepewnie, czując, że opada ją ogromne zmęczenie i senność.

„Nie bój się”.

Przypomniała sobie, że poprzednim razem kontakt z duchem Elsbeth urwał się, kiedy wypowiedziała coś na głos, wołała więc zadać najważniejsze pytanie w myśli.

Elsbeth, po co ja tu jestem?

„Żeby mi pomóc”.

Susanna usiłowała pozbierać myśli. Była tak bardzo zmęczona...

Ale ja nie mogę ci pomóc. Spóźniliśmy się.

„Nie. Nadal możesz. Zmyj plamę z mojego nazwiska”.

Ostatnie słowa zapadły jej w świadomość, kiedy już prawie spała.

Uspokojona, zaczęła śnić o nim - mężczyźnie o błękitnych oczach i uśmiechu szulera.

Następnego dnia rano obudziła się z bólem głowy, nie bardzo wiedząc, gdzie jest i co się wydarzyło. Dziewiętnasty wiek? Rozmowa z duchem? Za dużo tego jak na jeden sen... Kiedy uniosła powieki, żeby sprawdzić, jak jest na jawie, zobaczyła biel. Jaskrawą, oślepiającą biel.

Bezladną gonitwą myśli próbowała zagłuszyć w sobie lęk. Straciła wzrok? Umarła? Na serce... Zaraz... Nie byłoby, gdyby umarła.

Przynajmniej nie miała już wątpliwości, że z dwojga złego woli żyć w dziewiętnastym wieku niż nie żyć wcale.

W najgorszym razie jest w niebie. Tak białe może być tylko w niebie. Z drugiej strony, piekielny upał... Niemożliwe... Za co? Za kłamstwo w podaniu o prawo jazdy? Przecież nikt nie podaje swojej prawdziwej wagi w tych głupich papierach!

- Masz zamiar przeleżeć tu cały dzień czy wstajesz?

Susanna przewróciła się gwałtownie na plecy i spojrzała na Kane'a.

- To ty!

- Spodziewałaś się w swoim łóżku zastać kogoś innego?

Jest w łóżku... Ta biel to moskitiera!

- Nie spodziewałam się...

- Śniłaś o moim bracie? - przerwał jej brutalnie.

- Nie śniłam o twoim bracie - odpowiedziała spokojnie, zastanawiając się, czy to, co usłyszała w jego głosie, było nutą zazdrości. - Jeśli chcesz wiedzieć, myślałam, że... Mniejsza o to, i tak byś niczego nie zrozumiał. Duszno tu.

- Proszę wybaczyć, księżniczko, że nie włączyłem klimatyzacji.

- Ale śmieszne!

- Powiem ci, co jest naprawdę śmieszne. Te ciuchy! Spójrz tylko, rozporek na guziki!

Spojrzała. Mimo luźnych spodni, zauważyła, że Kane ma wąskie biodra. Kiedy powróciła wzrokiem do jego twarzy, Kane uśmiechał się, mrużąc oczy.

- No i jak ci się to podoba?

- Pytasz o guziki? Wiadomo, że zamki błyskawiczne wymyślono dużo później.

- Wyobrażasz sobie, jaki majątek zrobi facet, który opatentuje ten wynalazek? Może powinienem...

- Wybij to sobie z głowy. - Susanna odsłoniła moskitierę i usiadła na brzegu łóżka. - Nie będziesz kradł niczych pomysłów.

- Nie o to mi chodziło. Zastanawiam się, czy nie mógłbym po prostu nosić spodni, w których chodziłem wczoraj.

- A jak, w razie czego, wytłumaczysz ten zamek błyskawiczny?

- Niby komu mam tłumaczyć? Dlaczego podejrzewasz, że ktoś będzie patrzył na mój rozporek?

- Nie wiem... zawsze ktoś może zauważyć.

- Więc co mi radzisz?

- Zostań w tych spodniach i już.

- Są za luźne. I nie znalazłem do nich żadnego paska, tylko to... - skrzywił się, pokazując jej bezradnym gestem parę szelek.

- Bardzo eleganckie. Za paskiem u spodni musisz mieć guziki, do których przypina się szelki. - Wiedziała, do czego zmierza, ale ani myślała dać się wciągnąć w niebezpieczną zabawę. - Aha, pani Broadstreet ofiarowała się wyczyścić nasze ubrania, ale lepiej, żeby w ogóle ich nie oglądała. Radzę ci zdjąć swój kostium i schować go pod łóżkiem. Może się jeszcze przydać.

- Kto wie... - powiedział rozmarzonym głosem. - Może nawet oddam go do wypożyczalni i już nigdy, za żadne skarby, nie przebiorę się w żadne tego typu łachy.

- Boże, na śmierć zapomniałam, że trzeba je oddać!

- Nie masz w tej chwili większych zmartwień? Może byś się wreszcie ubrała? Jest wpół do dziewiątej. Za pół godziny musimy zejść na dół, żeby zjeść śniadanie.

- Ubrałabym się już dawno, gdybyś mi nie zawracał głowy swoimi szelkami. Za chwilę będę gotowa.

Tym razem, zanim się rozebrała, sprawdziła, z której strony pada światło, żeby ustawić parawan pod właściwym kątem. Kilka minut zajęło jej ustalenie, w jakiej kolejności powinna nakładać kolejne części pożyczonej od pani Broadstreet garderoby. Męczenie się w gorsecie nie wchodziło w rachubę, włożyła więc własną bieliznę, na to perkalową koszulę i turniurę... Miała ochotę wyć.

- Trzy godziny siłowni tygodniowo - mruzczała pod nosem - żeby zrzucić parę kilogramów, a teraz, w tych cholernych falbaniastych ciuchach, wyglądam jak kolubryna.

Poczuła się nieco lepiej, kiedy włożyła ostatnią warstwę stroju - białą bluzkę z długimi bufiastymi rękawami i piękną niebieską spódnicę. Do tego bawełniane pończochy i aksamitne pantofle na płaskim obcasie z 1995 roku.

- Dlaczego trwa to tak długo? - spytał niecierpliwie Kane.

- Nie miałam pojęcia, że ubieranie się w tych czasach jest takie trudne - przyznała Susanna, wychyliwszy się zza parawanu. Na krześle wisiał jeszcze żakiet, bez którego - mimo ponad dwudziestu stopni ciepła - na pewno nie mogła pojawić się na ulicy.

Wyjęła z torby kosmetyczkę i stanęła przed lustrem. Była równie blada jak duch Elsbeth. Przyzwoite kobiety w jej czasach nie pozwalały sobie na makijaż, ale coś musiała przecież ze sobą zrobić. Delikatnie pociągnęła tuszem rzęsy, a potem - starym zwyczajem, o którym czytała w książkach - uszczypnęła się w policzki i zagryzła wargi. Pozostało tylko umycie zębów i mogli zejść na śniadanie.

- Pasta do zębów! - wykrzyknął Kane na widok tubki, którą wyjęła z torby. - Masz pastę do zębów! Skąd ją wytrzasnęłaś?

- Kupiłam w kiosku na Upper East Side.

- Pewnie nie będziesz aż tak wielkoduszna, żeby się ze mną podzielić...

Powinna pokazać mu figę. Była pewna, że Kane na jej miejscu nie zachowałby się wielkodusznie. Ciekawe, na co próbowałby wymienić porcję pasty do zębów? Nagle wpadł jej do głowy pomysł...

- Podzielę się z tobą, pod warunkiem, że nigdy więcej nie powtórzysz oszczerstwa na temat swojego brata i mnie.

- Oszczerstwa?

- Chyba mówię wyraźnie.

- Nadal zaprzeczasz, że łączy was...

- Zaprzeczam kategorycznie.

- Więc żądasz, żebym za porcję pasty do zębów stracił zaufanie do własnego brata?

- Wydaje mi się po prostu, że skoro już jesteśmy skazani na swoje towarzystwo, nie powinniśmy sobie skakać bez przerwy do gardła.

- Sam nie wiem... - odezwał się basem, nie odrywając wzroku od jej szyi.

Zakłopotana jego spojrzeniem, a jeszcze bardziej nagłą zmianą tonu głosu, Susanna odłożyła na bok pastę. Wyjmując z kosmetyczki szpilki do włosów, zauważyła w niej małą tubkę kremu zawierającego silny filtr przeciwsłoneczny oraz jakiś składnik odstrasżający owady.

Kremu pozostało niewiele, ale, oczywiście, nie chciała mieć na sumieniu Kane'a - wolała, żeby nie zachorował na żółtą febrę i nie zostawił jej samej w dziewiętnastym wieku. Nie mogła stracić jedynej szansy przebywania z człowiekiem, z którym mogła porozmawiać o pierwszej wojnie światowej, prezydencie Kennedym, reformach gospodarczych Reagana, Beatlesach, Billu Clintonie...

- Z tego też możesz skorzystać. - Odłożyła tubkę i zaczęła upinać włosy.

- Nie będę musiał sprzedać za to duszy?

- Chcesz czy nie?

- Dzięki.

- Jeśli nie wykończą cię komary, będziesz miał wobec mnie dług wdzięczności - powiedziała z uśmiechem.

Milczał przez chwilę, przekonany, że bardziej niż komarów powinien bać się tej kobiety - z jej temperamentem i z czymś takim, czego nie potrafił nawet nazwać, a co odbierało mu naturalną pewność siebie. Musiał coś zrobić, żeby znaleźć wyjście z tej cholernej historycznej matni.

- Masz rację - powiedział z nagłą werwą. - Powinniśmy ogłosić zawieszenie broni. Jeśli chcemy ustalić, o co tu chodzi, i wrócić do naszych czasów, musimy skupić siły.

Co dwie głowy, to nie jedna. Gotów jestem zapomnieć na razie o sprawie mojego brata. Zgoda?

- Zgoda. Mamy wystarczająco dużo innych kłopotów.

- Myślała o żółtej febrze i o tym, żeby Kane nie zauważył, że jego bliskość przyprawia ją o gorączkę groźniejszą od febry.

- Dzień dobry. - Pani Broadstreet przywitała ich na progu jadalni. - Mam nadzieję, że dobrze państwo spali.

- Dziękuję, wyśmienicie - odparł Kane.

- Mnie, powiem szczerze, niepokoiła myśl o żółtej febrze...

- Ach, niepotrzebnie! - przerwała Susannie gospodyni.

- Zarazy nawiedzają te okolice bardzo rzadko. Od dawna nie zdarzyło się tu nic takiego jak w Memphis kilka lat temu. Tutejsze morskie powietrze jest dużo zdrowsze.

- To pocieszające.

- W czasach kiedy byłam małą dziewczynką - ciągnęła pani Broadstreet - żółta febra budziła grozę.

- W takim razie bardzo się cieszę, że nie wybrałam się w te strony wcześniej - odparła z przekąsem Susanna.

- Mam nadzieję, że jesteście głodni. Przygotowałam pyszne śniadanie.

Susanna zadowoliliby się bułką z topionym serem, ale na widok nakrytego stołu uśmiechnęła się z wdzięcznością. Przypomniała sobie śniadania, jakie kilka lat temu jadła na wakacjach w Anglii. Szyńka, jajka smażone na maśle albo na smalcu. I nikt się nie przejmował cholesterolem!

Kawa była mocna i aromatyczna. Dżem własnej roboty, chleb z domowego pieca. Nie tknęła tylko mamałygi. Służąca, która ich obsługiwała, miała na sobie czarną gładką suknię i biały fartuszek. Sprawiała wrażenie osoby słabo znającej angielski i niezbyt zręcznej. Kiedy omal nie upuściła talerza, a potem zbiła szklanę, pani Broadstreet głośno jęknęła.

- Tak trudno jest dzisiaj znaleźć kogoś do pomocy. Przychodzą, jedna po drugiej, i zaraz odchodzą. Dostyc tego, Gerto - zawołała, kiedy dziewczyna zaczęła głośno chlipać. - Możesz wrócić do kuchni.

Sprzątając ze stołu, pani Broadstreet nie mogła oderwać oczu od polakierowanych paznokci Susanny. Wreszcie, kiedy Kane pogrzyżył się w lekturze gazety, wypowiedziała nurtujące ją pytanie:

- Za pozwoleniem, czy pani się skaleczyła i dlatego ma takie czerwone paznokcie?

- Nie. Są pomalowane.

- Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam.

- To nowa moda.

- Susanno. - Kane wychylił się zza gazety. - Jeżeli nie wyruszymy natychmiast, spóźnimy się na spotkanie.

- Jestem gotowa. - Susanna podniosła się i niechętnie sięgnęła po zakiet,

- Proszę nie zapomnieć o kapeluszu. Pożyczę pani jeden z moich. Mam też melonik dla pana, panie Wilder.

Zadowolona, że dostała kapelusz ozdobiony jedynie kilkoma wstążkami i piórami, a nie całym ptasim gniazdem, Susanna uśmiechnęła się do pani Broadstreet z wdzięcznością.

Kane w meloniku wyglądał bardzo dostojnie.

- Jeszcze parasolka!

Na schodach, już za drzwiami, Kane otarł pot z czoła.

- Myślałem, że nigdy stąd nie wyjdziemy.

- Nie narzekaj. To ja muszę nosić tę śmieszny turniurę!

- Nie powiem... - Kane pokazał w uśmiechu wszystkie zęby - trochę ostatnio przytyłaś.

Miała ochotę złamać na nim parasolkę, ale bez niej - w stroju odpowiednim na chłodną jesień - dostałaby udaru słonecznego.

- Dokąd idziemy? - spytał poważnie.

- Wracamy do domu Whitakerów. Spróbujemy tam powęszyć.

- W jaki sposób dostaniemy się do środka?

- Zastukamy kołatką w drzwi.

- Otworzy nam lokaj i poprosi o bilecik. Nie sędzę, żeby moja albo twoja służbowa wizytówka mogła się w tej sytuacji do czegoś przydać.

- Powiemy, że ukradziono nam wizytówki razem z bagażami. I że zamówiliśmy już nowe. Powinno się udać. - Dotknęła, jakby na szczęście, naszyjnika swojej prababki. - A więc do dzieła! Ruszajmy.

Lokaj, który otworzył im drzwi, oświadczył, że w domu jest tylko służba, a potem osłupiałym wzrokiem zerkał raz po raz na naszyjnik Susanny.

- A gdzie jest pan Whitaker? Chcieliśmy z nim mówić w pilnej sprawie - powiedział stanowczo Kane.

- Przyjechaliśmy z daleka - dodała Susanna.

Lokaj zaniemówił na chwilę, jak gdyby nie umiał podjąć decyzji.

- Pan jest w swojej kancelarii prawniczej - odpowiedział w końcu i podał im adres.

Kancelarię Haywarda Whitakera - z imponującym mosiężnym szyldem nad bramą - znaleźli bez trudu. W sekretariacie, oddzielającym korytarz od gabinetu, nie było żywego ducha. Otworzyli następne drzwi... i ujrzeni całującą się parę.

- Przepraszam najmocniej - odezwała się Susanna. - Szukamy pana Whitakera.

- To ja - odpowiedział mężczyzna.

- Pan Hayward Whitaker?

- Zgadza się.

Nie, pomyślała Susanna. Nic tu się nie zgadza, ponieważ Hayward Whitaker nie wyglądał na człowieka, który niespełna miesiąc temu stracił żonę.

- Robi się gorąco - szepnął jej do ucha Kane.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Powiedziałem, że nazywam się Hayward Whitaker. Ale kim wy, do diabła, jesteście? - zapytał rozwścieczony mężczyzna. - Jakim prawem wtargnęliście tu bez zapowiedzenia?

- Proszę nam wybaczyć, ale nie mieliśmy komu się przedstawić. Biuro jest puste.

- Stevens, do mnie! - Nie doczekawszy się odpowiedzi, Whitaker podszedł do drzwi i spojrzał na puste biurko. - Przeklęty urzędnik - warknął. - Nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny.

- Muszę już iść - szepnęła jego rudowłosa znajoma. Sięgnęła po leżący na biurku Haywarda swój ekstrawagancki kapelusz, po czym wyszła szybkim krokiem, zostawiając za sobą intensywną woń różano-herbacianych perfum.

- A teraz proszę wyłożyć mi cel swojej wizyty, byle szybko. Jestem bardzo zajęty człowiekiem - powiedział Hayward.

Kiedy spojrzał na naszyjnik Susanny, jego twarz pobladła, a potem spąsowiała.

- Skąd pani to wzięła?

- A dlaczego pan pyta? - Susanna przykryła naszyjnik dłonią, jak gdyby się obawiała, że Whitaker zechce zerwać go z jej szyi.

- Ponieważ tak się składa, iż wiem na pewno, że to biżuteria zrobiona na zamówienie, unikatowa, wykonana przez pewnego jubilera z Nowego Jorku dla mojej żony i jej drogiej przyjaciółki.

- Czy ta urocza dama, która przed sekundą stąd wyszła, to pańska żona? - zapytał Kane.

- Nie - odparł grobowym głosem. - Mojej drogiej żony... nie ma już pośród nas.

Czuając, że Hayward jest u kresu wytrzymałości, Susanna postanowiła ratować sytuację.

- Proszę wybaczyć mojemu małżonkowi grubiaństwo, panie Whitaker. Mówiłam ci przecież - zwróciła się do Kane'a - o śmierci małżonki pana Whitakera. Nie pamiętasz? Niestety, nigdy mnie nie słucha. Z ogromnym żalem, proszę mi wierzyć, przyjęliśmy wiadomość o odejściu pańskiej żony.

Susanna nie musiała niczego udawać. Naprawdę boleśnie przeżyła śmierć Elsbeth - w przeciwieństwie do jej męża - i głęboko jej współczuła. Czy dlatego biedaczka popełniła samobójstwo? Z powodu zdrady męża?

Żaden mężczyzna nie jest tego wart, Elsbeth. W odpowiedzi na swoje milczące przesłanie odczuła, że wciąż jest daleko od prawdy i nie zbliżyła się ani na krok do rozwiązania zagadki. Ale co to mogło znaczyć? Czyżby Elsbeth wcale nie popełniła samobójstwa?

- Nie odpowiedziała mi pani jeszcze, skąd pani wzięła ten naszyjnik. Dla mojej żony ten przedmiot miał wyjątkowe znaczenie. Tak wyjątkowe... - zaczął mówić drewnianym głosem, jakby do siebie samego, albo nawet wbrew sobie - że chciała być w nim pochowana.

Susanna dostała gęsiej skórki. Elsbeth została pochowana w jej naszyjniku? No nie, nie w tym samym. W identycznym naszyjniku jak ten, który należał do jej prababki.

Duch Elsbeth musiał rozpoznać tę biżuterię! Dlatego wybrała właśnie Susannę.

- Czy to pani Hall była przyjaciółką pana zmarłej żony?

- Wyczytała potwierdzenie w oczach Whitakera. - Bo, widzi pan, ja jestem krewną tej osoby. Zachwyił mnie jej naszyjnik i zamówiłam kopię.

- Tę biżuterię zaprojektowano specjalnie dla mojej żony oraz jej przyjaciółki. - Mężczyzna wciąż patrzył na Susannę podejrzliwym wzrokiem. - Jubiler miał zniszczyć matrycę.

- Wiem. Pani Hall i ja korzystałyśmy z usług tego samego jubilera. Zupełnie wyjątkowo zgodził się zrobić jeszcze jedną kopię dla mnie - pod warunkiem, że nikomu o tym nie powiem. A ja się właśnie sypnęłam.

- Sypnęłam...?

- To takie wyrażenie.

- A pani godność?

- Najmocniej przepraszam. Sama nie wiem, co się dzieje z moimi manierami. Nazywam się Susanna Ha... - Dyskretnym kuksańcem Kane przypomniał jej właściwą odpowiedź.

- Wilder. Susanna Wilder, a to mój mąż, Kane. Przybyliśmy z daleka, żeby przekazać panu nasze szczere kondolencje.

- Istotnie, ma pani dość szczególny sposób bycia. Używa pani nie znanych mi wyrażeń i w całym pani zachowaniu jest coś niezwykłego. Skąd pani pochodzi?

- Przyjechaliśmy z Francji - wyręczył ją Kane. - Dlatego nieco różnimy się od mieszkańców Savannah.

- Z Francji? - powtórzył Hayward.

Susanna zobaczyła niedowierzanie jego w oczach. Ona też by nie uwierzyła w podobną bzdurę. Co za diabeł podkusił Kane'a, żeby się tak wygłupić?

- Przyjechaliśmy z Francji - powiedziała tubalnym głosem, kiedy znaleźli się na ulicy, w bezpiecznej odległości od biura Haywarda Whitakera. - W głowie mi się nie mieści, że wymyśliłeś coś podobnego! Masz szczęście, że znam francuski. Swoją drogą, wiedziałam, że to dodatkowe seminarium z francuskiej poezji przyda mi się wcześniej czy później - mruknęła do siebie.

- A mnie się wydaje, że poszło jak z płatka - obruszył się Kane. - Whitaker kupił przecież historyjkę o naszym spotkaniu w Europie, amerykańskich rodzicach osiadłych na francuskiej prowincji...

- Ale wsypałeś się nieznaną francuskiego.

- Wytłumaczyłem, że pochodzę z Polski.

- To też nie zabrzmiało wiarygodnie - ani ta cikliwa rodzinna opowieść, ani polskie słowa.

- Otóż wyobraź sobie, że były to autentyczne polskie przekleństwa, których nauczył mnie dziadek.

- Masz szczęście, że Hayward nie zna polskiego.

- Gdybym naprawdę miał szczęście, nie wpłatałbym się w ten pasztet. Powiedz lepiej, czego się dowiedziałas od pana Whitakera.

- Że nie jest wdowcem pogrążonym w żałobie.

Kane otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy ktoś wpadł na niego z rozpędem i pobiegł dalej. Sięgnął odruchowo do kieszeni, w której trzymał portfel. Była pusta. Rzucił się w pościg za złodziejem - dziewięcio- lub dziesięcioletnim chłopcem, który biegł na złamanie karku, wymijając przechodniów.

Mimo że Kane miał dobre mniemanie o swojej kondycji fizycznej, dotrzymywał jedynie tempa małemu kieszonkowcowi, nie zwiększając dystansu. Złapał chłopca dopiero za kolejną przecznicą.

- Oddaj, co ukradłeś, ty zasmarkany szczeniaku. - Potrząsnął mocno chłopcem, żeby dać mu do zrozumienia, że nie żartuje.

Zupełnie jakby potrząsnął pnem jabłoni, tyle że zamiast jabłek, na ziemię posypały się portfele. Wyraźnym zrządzeniem losu portfel Kane'a otworzył się w locie i wypadła z niego karta kredytowa z błyszczącym w słońcu hologramem. Klnąc głośno, podniósł ją natychmiast i razem z portfelem schował do kieszeni.

Oczy chłopca zrobiły się okrągłe i błyszczące jak srebrne monety.

- Posłuchaj, ty młodociany opryszku... - zaczął Kane.

- Puść tego biednego chłopca! Nie widzisz, że go wystraszyłeś? - przerwała mu Susanna, dysząc ze zmęczenia i nienawiści do długich sukni z turniurą. Zwykle spacerowanie w czymś takim było nie lada sztuką, a co dopiero bieg!

- Biednego chłopca? - powtórzył Kane. - Ten dzieciak jest złodziejem.
Spójrz na jego dzisiejsze żniwo!

- Zaraz, zaraz... Masz na imię Mikey, prawda? Mieszkasz w pensjonacie?
Jesteś... pomocnikiem pani Broadstreet. - Susanna nie była pewna, jak go
nazwać. - Służącym? Chłopcem na posyłki?

- To co, że jestem? - Chłopiec uniósł wysoko głowę. Rude włosy i zielone
oczy zdradzały jego irlandzkie pochodzenie.

- Jestem pewna, że pani nie pochwaliliby tego, co robisz.

- To niech jej pani o tym nie mówi - odparował natychmiast.

- Może nie powiemy, jeżeli zrobisz coś dla nas. Co wiesz o Haywardzie
Whitakerze?

- Że jest znanym adwokatem. Podobno jego żona skoczyła ze schodów.
Mówią, że jej duch straszy! - Ostatnie zdanie powiedział szeptem.

- Boisz się duchów? - spytał go Kane.

- Nieee - wydusił z siebie Mikey, rozglądając się dookoła spłoszonym
wzrokiem. - Ale lepiej w taki sposób nie gadać o śmierci. Po co kusić los?

- Wiesz coś jeszcze o Whitakerze?

- O co państwu chodzi?

- Mniejsza z tym - odparł Kane.

- Ja tam nic o nim nie wiem. Ale znam kogoś, kto mógłby się dowiedzieć.

- Kto?

- Pan Ogilvie. Najlepszy detektyw w Savannah! -

- W takim razie wątpię, czy stać nas na jego usługi.

- Nie, on nie bierze dużo. To znaczy mógłby nie wziąć, gdybym
powiedział, że państwo są moimi przyjaciółmi.

- Domyślam się, że mamy szansę zostać twoimi przyjaciółmi, jeśli
zapomnimy o tej drobnej kradzieży, co? - Kane zmrużył oczy.

- Tak jest, proszę pana.

- Wybij to sobie z głowy!

- Poczekaj - przerwała mu Susanna. - Myślę, że powinniśmy złożyć panu Ogilvie wizytę.

- Tymczasem schowaj te portfele. Ja muszę mieć oko na chłopaka, żeby nie dał dyla.

Wręczył jej sześć wielkich pugilaresów. Kiedy jeden z nich otworzył się niechcący, Susannie serce podeszło do gardła. Zobaczyła małą fotografię Elsbeth, która patrzyła jej prosto w oczy. Wrażenie duchowego kontaktu z tą kobietą było tak silne, że zadała jej w myśli bezradne pytanie: Elsbeth, co ty mi chcesz powiedzieć?

- Ukradłeś portfel panu Whitakerowi? - zapytała chłopca.

- Nie. Jakbym okradł Whitakera, miałbym fajrant na kilka dni.

- Ja też zafunduję ci fajrant - syknął Kane - jak zawołam policję.

- Uspokój się - powiedziała Susanna. - Popatrz, w tym portfelu jest fotografia Elsbeth. I czyjaś wizytówka. Gordon Stevens.

- Co to jest fo-to-grafia?

- Później, Mikey. Kim jest Gordon Stevens?

- Nic o nim nie wiem, tylko to, że pracuje w biurze starego Whitakera.

Jest urzędnikiem czy czymś takim... Stevens... Przypomniała sobie, że Hayward wołał kogoś o tym imieniu.

- Nie uważasz, że to dziwne? Nosić w portfelu zdjęcie zmarłej żony szefa?

- Nie bardziej niż wszystko inne.

- Jak trzeba rozgryźć coś dziwnego, mój przyjaciel detektyw jest naprawdę dobry - wtrącił się Mikey.

- Najpierw powinniśmy zwrócić te portfele - powiedziała z niepokojem w głosie Susanna. - Jak najszybciej... - spojrzała porozumiewawczo na Kane'a - i bez zbędnych ceregieli. Zobacz, idzie jakiś żołnierz. Spytam go, gdzie możemy znaleźć policjanta,

- On jest policjantem - powiedział Mikey. - Wy chyba jednak nie chcecie z nim rozmawiać. Nie jesteście stąd - stwierdził krótko, kiwając ze zrozumieniem głową.

- Jesteśmy z Francji - powiedział Kane.

- Jecie żabie udka?

- Wolę cheeseburgery.

- Co proszę?

- Nieważne - przerwała im Susanna. - Wy dwaj lepiej się nie wtrącajcie, sama oddam te portfele. - Nie czekając na zgodę Kane'a, podeszła do policjanta.

- Znalazłam to pod tamtą ławką, panie oficerze. - Próbowwała zatrzepotać rękami, ale kapelusz opadł jej na czoło, a potem, manipulując niezgrabnie zamkniętą parasolką, omal nie wybiła policjantowi oka. Z obawy o własne bezpieczeństwo, mężczyzna szybko odszedł. Mata Hari dla ubogich! roześmiała się w duchu, całkiem zadowolona z obrotu sprawy.

Oliver Ogilvie był krępy, brodatym mężczyzną w średnim wieku. Miał gęste włosy, krzaczaste brwi i ostre przenikliwe spojrzenie Sherlocka Holmesa. Susanna wyobraziła sobie, że usłyszy za chwilę „Mój drogi Watsonie...”

- Co nowego, Mikey? Z czym do mnie przyszedłeś tym razem? - zapytał z uśmiechem.

- Przeprowadziłem klientów. Mieszkają u pani B. i chcą się czegoś dowiedzieć o Whitakerze.

- To interesujące. - Oliver Ogilvie poruszył brwiami. - Czyżby chodziło o Haywarda Whitakera?

- No właśnie.

- Będę mówił sam za siebie, chłopcze - powiedział ze złością Kane, zwracając się do Olivera. - Czy ma pan świadomość, że ten urwis jest kieszonkowcem? Godzinę temu próbował mi ukraść portfel.

- Nie próbowałem, tylko ukradłem.

Oliver spojrzał na chłopca karcącym wzrokiem.

- Zdawało mi się, Michael, że doszliśmy do porozumienia i obiecałeś zrezygnować na dobre z tego procederu.

Chłopiec zrobił się pąsowy na twarzy.

- Nie mogę pozwolić, żeby pracował dla mnie ktoś, komu nie mogę ufać. Zrób teraz porządek w spiżarni i zastanów się nad swoim postępowaniem.

- To pański syn? - spytał Kane, kiedy Mikey zniknął za drzwiami.

- Nie brak panu tupetu - stwierdził obojętnie Oliver.

- Odpowiedź brzmi „nie”. Ale szkoda mi tego biednego dziecka. Jego matka zmarła, kiedy był niemowlakiem. Służyła u pani Broadstreet. Na szczęście, bo ta pobożna niewiasta wzięła sierotę na wychowanie. Robiła dla niego, co mogła, ale chłopak ma diabła za skórą. Obawiam się, że jeśli nie pójdzie po rozum do głowy, wyląduje w sierocińcu. Poznałem go w podobnych okolicznościach jak pan, jakiś rok temu. Ukradł mi portfel. Posadziłem go przed sobą, wygłosiłem kazanie, dałem mu zajęcie i próbowałem włożyć nieco rozumu do głowy.

- Nie na wiele się to zdało.

- Od tamtego czasu podkusiło go po raz pierwszy.

- Albo po raz pierwszy pan się o tym dowiaduje.

- Och, wiedziałbym na pewno. Ale wątpię, że fatygował się pan do mnie tylko po to, żeby porozmawiać o kłopotach Mikeya. Chłopiec wspomniał coś o Whitakerach.

- Tak. Ale zanim powiem coś więcej, chciałbym poznać pańskie referencje.

- Rozumiem. Ostrożności nigdy za wiele. Naturalnie nie brakuje mi referencji i może pan rzucić na nie okiem.

- Oliver podszedł do sekretarzyka, wyjął z szuflady plik rękopisów i wręczył je Kane'owi.

Susanna, zauważywszy natychmiast, że Kane ma kłopoty z ich odczytaniem, poprosiła o część listów.

- Skoro jest pan aż tak dobrym fachowcem, dlaczego nie pracuje pan dla agencji Pinkertona? - zapytała po przeczytaniu kilku wspaniałych pochwał pod adresem detektywa Ogilvie.

- Allan Pinkerton jest przyzwoitym człowiekiem, ale ja wolę pracować na własny rachunek. Jeśli państwo mają większe zaufanie do ludzi z agencji, gotów jestem kogoś polecić.

- A jak wysoko ceni pan swoje usługi? - zapytał Kane.

- To zależy od sprawy. Lubię mroczne tajemnice. I słyszałem już o niezwykłych okolicznościach związanych z niefortunną śmiercią pani Whitaker.

- Jakich niezwykłych okolicznościach? - nie wytrzymała Susanna.

- Takich, że całe miasto plotkuje o jej samobójstwie, podczas gdy wedle świadectwa zgonu - potwierdzonego przez rodzinę - przyczyną śmierci pani Whitaker był nieszczęśliwy wypadek. - Uprzedzając następne pytanie Susanny, dodał: - Mam znajomego w biurze koronera.

- Czy mówi się o liście przedśmiertnym Elsbeth, który potwierdzałby wersję samobójstwa? Albo jakimś innym dowodzie?

- Nic mi o tym nie wiadomo. A dlaczego państwo interesują się tą sprawą?

- Proszę nas traktować jak przyjaciół rodziny - odparł Kane.

- Rodziny Elsbeth - dodała Susanna. - Wiadomość o jej śmierci wstrząsnęła nami i... wzbudziła podejrzenia. Coś tu jest nie w porządku.

- A więc oczekują państwo ode mnie pomocy w wyjaśnieniu tej sprawy?

- Tak - odpowiedziała Susanna.

- Nie. - Kane zganił ją wzrokiem.

- Rozumiem. Może powinienem dać państwu trochę czasu na uzgodnienie wspólnego stanowiska. Wyjdę sprawdzić, jak idzie Mikeyowi sprzątanie spiżarni.

- Co ci strzeliło do głowy? Dlaczego powiedziałaś, że go wynajmujesz? - zapytał oburzony Kane, kiedy Oliver wyszedł z pokoju.

- Dlaczego powiedziałeś „nie”?
- Nie znam faceta na tyle, żeby ładować w niego moje własne pieniądze.
- Nie twoje, tylko nasze. Bądź łaskaw nie zapominać o tym drobiazgu.

Poza tym potrzebujemy jego pomocy, bo sami mamy niewiele czasu. Wzięłam ze sobą żelazny zapas lekarstw na dwa tygodnie. A zanim spróbujesz mnie jeszcze raz obrazić, wyjaśniam, że nie są to „prochy” ani pigułki nasenne, tylko leki nasercowe.

- Wyglądasz bardzo młodo jak na tego rodzaju kłopoty - powiedział z niedowierzaniem w głosie.

- Wada zastawki dwudzielnej, jeśli coś ci to mówi. Mnóstwo ludzi ma z nią problemy, ale tylko nieliczni muszą zażywać leki wyrównujące arytmie serca. Należę do tej mniejszości.

- Przepraszam... Za te wszystkie bzdury, które wygadywałem w nocy. Nie wiedziałem, że jesteś chora.

- Nie jestem chora. To znaczy nic mi nie jest i nie grozi mi niebezpieczeństwo pod warunkiem, że nie odstawię leku. Dlatego musimy rozwiązać tę zagadkę jak najszybciej.

- Zgoda. Tylko nie jestem przekonany, czy ten detektyw może nam w czymkolwiek pomóc.

- Mam w związku z nim dobre przeczucie.

- Błagam, tylko nie zaczynaj z przeczuciami. Powinniśmy się z tym spokojnie przespać, a rano podjąć decyzję. Jeden dzień nas nie zbawi.

Kiedy wrócił Oliver oraz wyraźnie skruszony Mikey, Kane podniósł się i powiedział krótko:

- Wrócimy do pana.
- Jutro - dodała Susanna.
- Czy zamierza pan donieść policji o wybryku Mikeya? - spytał Oliver.
- Powinienem.

Widząc bunt w oczach chłopca, Kane wziął go na stronę i odbył z nim rozmowę w cztery oczy.

- Chcesz zostać detektywem, jak pan Oliver? Nie musisz odpowiadać, widzę, że chcesz. Powiem ci tylko jedno: kradnij dalej portfele, to sam skończysz w więzieniu, zamiast wsadzać tam przestępców.

- Próbowałem tylko pomóc pani B.

- Mówisz o pani Broadstreet?

- To dobra pani. Te pieniądze bardzo by się jej przydały.

- Dostaje pieniądze od nas za pokój i wyżywienie.

- Ale mogłaby mieć ich więcej.

Kane westchnął ciężko. Doskonale pamiętał, jak to jest, kiedy młody człowiek nie ma własnych pieniędzy.

- Posłuchaj, o panią Broadstreet niech się martwią dorośli. Ona nie chce, żebyś dla niej kradł. Nie pochwaliliby cię za to.

- Jak jej pan wszystkiego nie wygada, to ja też nie powiem o tej magicznej karcie w portfelu.

Kane zaniemówił. Cholera, co za bystry dzieciak. Urodzony szuler.

- Ta karta mi powie, kiedy coś napsocisz.

- Napsocę? - Mikey skrzywił się z niesmakiem. - Psociłem, jak byłem małym dzieckiem.

- Chciałem powiedzieć, że będę wiedział, jeśli zrobisz coś złego, Więc nawet nie próbuj. Zgoda?

Mikey kiwnął głową, po czym napluł na swoją dłoń i wyciągnął ją do Kane'a.

- Zgoda.

- Byłeś dla niego dobry - powiedziała Susanna, kiedy spacerowym krokiem wracali do pensjonatu.

- Ten dzieciak to wcielony diabeł.

- A jednak rozmawiałeś z nim bardzo łagodnie.

Kane wzruszył ramionami. Jej pochwała wprowadziła go w zakłopotanie.

- Ten detektyw i dzieciak mogą być w jakiejś zmowie. Albo Whitaker wysłał za mną chłopaka, żeby się dowiedzieć, kim jesteśmy.

- Ty nikomu nie wierzysz, prawda?

- Rzeczywiście, niewielu ludziom wierzę. A już na pewno nie tym, których poznałem ostatnio.

Susanna jakby dostała obuchem w głowę. Teraz wiedziała na pewno, że Kane nie ufa jej z założenia - dlatego, że jego ukochany braciszek przysiągł, że ma z nią romans!

- Nieufności zawdzięczam sukces w interesach - mówił z werwą, jakby i ją chciał przekonać do większej ostrożności.

- A czemu zawdzięczasz samotność?

- Co ci każe sądzić, że jestem samotny?

- Twoje zachowanie.

- Co ci się nie podoba w moim zachowaniu?

- Masz pięć lat, że trzeba ci wyklądać kawę na ławę? - zapytała drwiąco.

- Lat to na pewno mam dosyć.

- A ja tej kretyńskiej turniury. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy ją z siebie zedrę. Co za czasy! Pewnie by mnie aresztowali za nieprzyzwoitość, obrazę moralności, a może za ekshibicjonizm, gdybym spróbowała zdjąć teraz żakiet!

Kane kiwnął głową, pogrążony we własnych nieprzyzwoitych myślach, które sprowokowała Susanna, roztaczając przed nim wizję striptizu kostiumowego we własnym wykonaniu. Swoją drogą, pomyślał uśmiechając się pod nosem, los czasami płata niezłe figle... Żeby zamknąć takiego rozsądnego faceta jak on w pułapce czasowej z jedną jedyną kobietą, która samą swoją obecnością sieje spustoszenie w jego nienagannie uporządkowanym życiu...

W coraz bardziej doskwierającym upale Susanna zaczęła marzyć o swoim podręcznym wiatraczku na baterie, bez którego nie wyjeżdżała w żadną podróż.

Żałowała, że w hotelu wyjęła go z torby. Z drugiej strony, jeśli Whitaker kazał ich śledzić... I tak był wystarczająco podejrzliwy. I nerwowy. Nic dziwnego, czuł się winny. Czy dlatego, że jego żona popełniła samobójstwo?

Znowu to dziwne uczucie... Coś się w niej buntowało, kiedy myślała o samobójstwie Elsbeth. Czyżby sama Elsbeth chciała ją odwieść od tej myśli?

- Nie możesz się po prostu odezwać, ujawnić jakoś, żeby dać mi kilka wskazówek? - szepnęła bezwiednie Susanna.

- Jakich wskazówek? - zapytał Kane.

- Nie, nie, żadnych. Mówiłam do siebie.

Nie mogła mu powiedzieć, że rozmawia z duchem, bo Kane nie wierzył w nie. Ona kiedyś też nie wierzyła w ich istnienie. Do chwili kiedy zobaczyła Elsbeth w tamtym niebieskim świetle. Przybyli za późno, żeby uratować jej życie. Jedynym logicznym celem, dla którego ściągnęła ich w swoje czasy, wydawało się więc zmycie plamy z jej nazwiska. Tak! Susanna przypomniała sobie swoje majaczenia przed zaśnięciem. Teraz była o tym święcie przekonana - jak gdyby sama Elsbeth mówiła „Tak, tak, tak!” Poczula nagłą, że uginają się pod nią nogi i że musi na czymś usiąść.

- Nie wyglądasz najlepiej - zauważył Kane, prowadząc Susannę do najbliższej ławki. - Co się z tobą dzieje?

- Posiedźmy tu chwilę - powiedziała słabym głosem. - Posłuchaj, a jeśli Elsbeth nie rzuciła się ze schodów? Jeśli jej śmierć nie była samobójstwem?

- Chcesz powiedzieć, że mógł być to zwykły wypadek?

- Nie sądzę. A jeśli ktoś ją zepchnął?

- Kto?

- Właśnie tego musimy się dowiedzieć - powiedziała stanowczo. - Po to Elsbeth nas tu ściągnęła. Żebyśmy odkryli tajemnicę jej śmierci.

- Nie widzę tu żadnej tajemnicy. Zdradzał ją mąż, biedaczka nie umiała się z tym pogodzić i popełniła samobójstwo. To żalosne, że niektóre kobiety bez

skrupułów wiążą się z żonatymi mężczyznami, ale zdarza się! - Spojrzenie, którym zmierzył Susanne, było aż nadto wymowne.

- Wiesz co?! - krzyknęła, zrywając się z ławki. - Jeśli moja sprawa ma cokolwiek wspólnego ze sprawą Elsbeth, to tylko to, że w obu przypadkach się mylisz. Ty po prostu gonisz w piętkę!

Kane czuł, że Susanna kipi z gniewu, mimo że szedł kilka kroków za nią. Była rozwścieczona. Z pewnością nie należała do kobiet, które potrafią tłumić w sobie uczucia. Im więcej spędzał z nią czasu, tym mniej ją rozumiał. I coraz bardziej jej pragnął.

Ostatnio nic nie szło zgodnie z planem. Przypomniał sobie, z jaką pewnością siebie oświadczył swojej bratowej, że nad wszystkim panuje... Czy to możliwe, że od ich rozmowy minęła zaledwie doba? Tak. Ale tamta chwila była odległą o ponad sto lat przyszłością. Obłąd!

Kane potrafił myśleć samodzielnie, nie ulegał stereotypom, ale też nie był skłonny traktować poważnie takich koncepcji jak podróż w czasie. Swoją zdolność logicznego myślenia i silne poczucie rzeczywistości uważał za powód do dumy. Zjawiska paranormalne nigdy go nie interesowały. Nie pociągały go też kobiety o czarnych kręconych włosach, zawsze trochę potarganych, jakby żyjących własnym życiem.

Nagle wszystko zaczęło się zmieniać, a on nie mógł się z tym pogodzić. Był rozdrażniony. Musiał jednak wziąć się w garść i zacząć intensywnie myśleć. Susanna miała rację, kpiąc z jego uzależnienia od komputera. Nie miał komputera, więc sam - bez dostępu do sieci i największych bibliotek świata - musiał znaleźć sposób na powrót do dwudziestego wieku.

Swoją drogą, nie bardzo wierzył, żeby jakikolwiek, choćby najbardziej nowoczesny komputer był w stanie ustalić to, co się działo między nim a Susanną.

Wieczorem, zanim położyli się do łóżka, Kane powiedział z powagą:

- Jeśli chce się coś porządnie zrobić, to albo trzeba zrobić to samemu, albo wynająć najlepszego fachowca. Ponieważ nie mamy pieniędzy na wynajęcie dobrego detektywa, będziemy musieli zdać się na własne siły.

- A Oliver Ogilvie? - zapytała Susanna, wychyliwszy się zza parawanu, gdzie dyskretnie połknęła ostatni kęs batonika, a potem lekarstwo na serce.

- Czy on ci wygląda na najlepszego fachowca w branży?

- No więc... przyznam, że jak na detektywa jest trochę dziwny.

- Bardzo dziwny.

- Ale on mi się podoba. Mam przeczucie...

- Nie mów mi o swoich przeczuciach. To przez twoją niezwykłą intuicję wpadliśmy w tarapaty.

- Bzdura.

- Intuicja kazała ci węszyć na drugim piętrze, zamkniętym dla gości.

- Ja nigdzie nie węszyłam!

- A ja byłem na tyle głupi, że poszedłem za tobą.

- Już ci mówiłam, że rewolweru do głowy nikt ci nie przystawiał.

- Wszystko przed nami. Jeżeli Elsbeth rzeczywiście została zamordowana, temu, kto to zrobił, nie spodoba się nasze dochodzenie. Zresztą myślę, że to robota tej rudej - kochanki Whitakera.

- Co proszę?! Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

- Męska intuicja - zadrwił. - Ta baba wygląda na morderczynię.

- Ty masz intuicję półprzewodnika! A uczucia twardego dysku!

- Powiem ci, co mi twardnieje...

- Nie bądź trywialny.

- Trywialny? No, no! Można by pomyśleć, że ty jesteś uosobieniem subtelności. - Kane położył dłonie na jej ramionach. - Ale ty nie jesteś aniołem, wiemy o tym oboje - mówił ochrypłym szeptem. - Całujesz jak diablica. Przy tobie ta upalna noc staje się nie do wytrzymania...

Susanna czuła, że są tylko dwa sposoby na uciszenie go - ogłuszyć albo pocałować. Wybrała drugi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zdumienie Kane'a wprawiło Susannę w doskonały nastrój. Poczowała nagle siłę swojej kobiecości, a było to uczucie, którego nie zamieniłaby w tamtej chwili na żadne inne. Wczoraj on był opanowany, całował ją z premedytacją, jakby dla udowodnienia swojej przewagi. Teraz role się odwróciły. Tak, pocałowała go pierwsza. Chciała, żeby dygotał z podniecenia, pragnął jej aż do bólu... i czuł się zakłopotany. Tym razem ona zachowała spokój, wyjdzie z tego pojedynku zwycięsko.

Przeceniła swoje siły. Jej spokój nagle stopniał, a rozkosz pocałunku odsunęła w niepamięć wszelkie deklaracje. Odepchnęła go gwałtownie.

- Dosyć zabawy - powiedziała opanowanym głosem, który pozwolił jej odzyskać pewność siebie. - Mieliśmy się zdecydować, czy wynajmujemy detektywa Ogilvie.

Wpatrywał się w nią zdumionym wzrokiem. Nie wierzył własnym uszom.

- Tak po prostu? Nagle pomyślałaś o śledztwie? I spodziewasz się tego samego po mnie?

Wyraz twarzy Kane'a uświadomił Susannie, że igra z ogniem, zbliżając się do granicy bezpieczeństwa - o ile już jej nie przekroczyła.

- To nie takie łatwe - powiedział dziwnie brzmiącym głosem.

- Zdaję sobie sprawę, że to poważna decyzja...

- Dobrze wiesz, że nie o tym mówię.

- Wiem. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Odpowiedz mi na jedno pytanie: Czy jesteś w stanie uwierzyć, że nic mnie nie łączy z twoim bratem?

Milczenie Kane'a było dostatecznie wymowne.

- Tak też myślałam - skłamała. - Ale chwilowo jesteśmy skazani na swoje towarzystwo, postarajmy się więc unikać wszelkich osobistych zaczepki i... prowokacji.

- To ty mnie pocałowałaś.

- Żeby dać ci nauczkę.

- Chciałaś pokazać, że potrafisz uwieść faceta jednym pocałunkiem?

Wiedziałem o tym.

Zaniemówiła. Uwieść? Ona? Czy on zwariował, czy też chce jej dokuczyć? Uwodzicielka z bożej łaski. Z sianem na głowie i nogami jak słupy telegraficzne! Spojrzała mu w oczy, ale nie dostrzegła w nich ani cienia kpiny. Tylko wilczy głód.

Wszystko wskazywało na to, że Kane naprawdę oszalał na jej punkcie. Był zły, bo nie chciał się z tym pogodzić. A więc mogli sobie podać rękę... Piorunujące odkrycie. Jakby dowiedziała się nagle, że beczka, na której siedzi, wypełniona jest prochem.

- No więc... - Uciekła od niego wzrokiem, żeby uspokoić się i pozbierać myśli. - Myślę, że powinniśmy skorzystać z pomocy pana Ogilvie. Zna to miasto jak własną kieszeń, ma kontakty z ludźmi, zna ich tajemnice... Sami zaczynalibyśmy od zera, a na to nie mamy czasu.

- Czy nie przyszło ci do głowy - zapytał nagle - że Whitaker może skontaktować się z twoją prababką, żeby sprawdzić, czy nie zmyśliłaś tej historyjki o jubilerze?

Susanna zbladła. Jak mogła o tym nie pomyśleć?

- Może sami powinniśmy odwiedzić moją prababkę i powiedzieć, że jej przyjaciółka nie popełniła samobójstwa, tylko została zamordowana?

- Świetny pomysł! - mruknął Kane. - Zapukasz do jej drzwi, powiesz, że jesteś jej prawnuczką z końca dwudziestego wieku i zawiadomisz uprzejmie, że jej najlepsza przyjaciółka została zamordowana.

- Dlaczego jesteś taki wściekły? Czy musisz się na mnie wyżywać?

- Chyba w życiu nie widziałaś wściekłego faceta.
- Widziałam. Kiedy mnie napadłeś na targach, miałeś pianę na ustach.
- Napadłem?
- Wiesz, o czym mówię. Jeszcze mnie kiedyś za to przeprosisz.
- Równie prawdopodobne, jak to, że...
- Że duch zamordowanej kobiety zafundował ci wycieczkę w

dziewiętnasty wiek?

Ku zaskoczeniu Susanny, Kane uśmiechnął się.

- Zgoda, jest to równie prawdopodobne. Wynajmiemy tego faceta i zobaczymy, co wymyśli. Czy byłabyś tak uprzejma i zechciała zgasić światło?

- Proszę bardzo.

Rano obudziło ją niezrozumiałe złorzeczenie. Polskie przekleństwa? Kiedy wyjrzała zza moskitiery, zobaczyła Kane'a pochylonego nad lusterkiem.

- Co ty robisz? - spytała zasnym głosem, wstając z łóżka.

Odwrócił się, z rozłożoną brzytwą w prawej ręce.

- Rozumiem - mruknęła, zauważywszy kilka drobnych skaleczeń na policzku. - Próbujesz popełnić harakiri.

- Jeżeli potrafisz zrobić to lepiej, to pomóż mi.

- Dałbyś mi brzytwę do ręki? Nie bałbyś się?

- Rozmyśliłem się. Ogołę się sam.

Susanna zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że dotyka palcami jego szorstkiej skóry. Kane siedzi przed nią, z głową opartą o jej tułów - tuż poniżej piersi - a ona pociąga delikatnie brzytwą po namydlonych policzkach. Wizja takiej sceny podniosła o kilka kresków temperaturę jej ciała. Rozpięła gwałtownie kołnierz nocnej koszuli, jakby nie miała czym oddychać.

- Źle się czujesz?

- Nie, nie, nic się nie dzieje. Na widok krwi robi mi się słabo.

- Nie mają nawet głupiego papieru toaletowego, nie mówiąc o chusteczkach higienicznych! Czym ja mam to wytrzeć?

Susanna sięgnęła po swoją torbę i wyjęła z niej paczkę chusteczek.

- Proszę. Czy nie powinieneś tych ran odkazić?

- Jeżeli mi powiesz, że w tej torbie masz też maść antyseptyczną...

- W podróży jestem przygotowana na wszystko.

- Na wszystko?

- Powiedzmy. Jasne, że gdybym wiedziała, że wylądujemy w 1880 roku, zabrałabym ze sobą trochę więcej niezbędnych rzeczy. Przede wszystkim ciuchów. I własne łóżko.

- Tuzin szortów - rozmarzył się Kane. - Dżinsy, bawełniane koszule. I podręczny komputer.

- Brakuje ci go jak diabli, prawda?

- Żebyś wiedziała.

Rozmawiali ze sobą jak para starych przyjaciół, bez cienia wrogości. Kane uświadomił sobie nagle, że jeśli chce zachować wobec tej kobiety bezpieczny dystans, musi myśleć o niej źle - pamiętać, że uwiodła jego brata.

A jeśli to ona mówi prawdę? Jeżeli nic ją z Chuckiem nie łączy? To by i tak znaczyło, że jego brat się zakochał. A gdyby Susanna nigdy nie poznała Chucka? Co by teraz zrobił?

Nie miał wątpliwości. Susanna należałaby do niego wcześniej czy później. Odkrycie to spadło na Kane'a jak piorun z jasnego nieba.

- Dobrze się czujesz? - Susanna zauważyła, że Kane znieruchomiał.

- Tak. Czekam na ciebie na dole. - Wyszedł, zanim zdążyła coś powiedzieć.

Kiedy Susanna zeszła do jadalni, nie było w niej Kane'a, usłyszała natomiast cichy szelest, a potem zobaczyła klęczącego na podłodze Mikeya, który wyjmował coś z kredensu.

- Co robisz? - zapytała.

Drgnął gwałtownie, jak dziecko przyłapanie na podkradaniu słodczy. I rzeczywiście. W jednej ręce miał ciastko, a w drugiej okrągły pojemnik.

- We Francji też tak pani szpieguje ludzi? - spytał hardo, zamykając pospiesznie pudełko, które natychmiast schował na miejsce.

- Czy to są słodkie ciastka? - spytała szeptem Susanna. - Posłuchaj, jeśli na śniadanie będzie mamałyga, mogę oddać ci swoją porcję za to jedno ciastko.

- We Francji nie jedzą mamałygi?

- Ja wolę ciastka.

- Ja też. - Mikey wydał policzki, patrząc jej śmiało w oczy.

- Trudno - westchnęła. - Zjedz to ciastko.

- Ja też próbowałem go przekupić - usłyszała za plecami głos Kane'a.

Mikey drapał się po głowie, patrząc na nich osłupiałym wzrokiem.

- We Francji wszyscy są tacy? Susanna kiwnęła głową i roześmiała się.

- Nie naprzykrzaj się naszym gościom! - krzyknęła pani Broadstreet, ledwie przekroczyła próg jadalni. - Uciekaj! Kucharka ma dla ciebie zajęcie. Najmocniej przepraszam - powiedziała, kiedy chłopiec wyszedł. - Mikey chce dobrze, ale jego maniery pozostawiają wiele do życzenia. Niestety, staram się, jak mogę, ale wszystkie moje wysiłki idą na marne. Gerto, uważaj na zastawę - ostrzegła służącą, która podeszła do bocznego stolika. - Zwierzę się pani - zwróciła się konfidencjonalnym tonem do Susanny - że swoje sukcesy w prowadzeniu domu zawdzięczam nieocenionym wprost radom z książki Cathariny Beecher „Dom kobiety amerykańskiej”. Zna ją pani?

- Nie. - Susanna nie znała się na prowadzeniu domu. Sama perspektywa rozmowy na ten nieciekawy temat budziła w niej odruch buntu. Nie mogła powiedzieć zacnej pani Broadstreet, że jej stosunek do prac domowych ilustruje hasło, które przytwierdziła magnesem do lodówki: „Tępe kobiety mają nienaganne domy”.

- Świetna książka - ciągnęła gospodyni. - Jej autorka ma bardzo nowoczesne podejście do życia. A pisze o sztuce prowadzenia domu tak zajmująco, jakby to była jedna z dziedzin nauki.

Susanna nie znosiła nauki. Nie cierpiała też uczucia zakłopotania i niepewności, które zawdzięczała Kane'owi.

Chciała od niego choć na chwilę odpocząć. Pozbierać myśli.

- Chętnie obejrzałabym pani kuchnię. - Uśmiechnęła się do pani Broadstreet. - Pozwoli pani, że, tak jak Mikey, będę używała zdrobnienia „pani B.”?

- A śniadanie? - zapytał Kane.

- Zaczynj beze mnie. Ja zjem później kanapkę z dżemem.

- Ależ po co ten pośpiech, kochanie? - spytał drwiąco Kane. - Kuchnię możesz obejrzeć po śniadaniu. Nie chciałbym, żeby ostygła ci mamałyga.

- Dziękuję, skarbie - powiedziała słodko. - Nie martw się o mnie. Siadaj do stołu i zjedz podwójną porcję mamałygi. Twoja żona musi dbać o swoją figurę. A więc chodźmy do kuchni - Susanna ujęła pod ramię zdumioną panią Broadstreet. - To najlepsze miejsce do plotkowania.

- Mikey mówił mi, że jesteście państwo z Francji... - Gospodyni stanowczym gestem uwolniła rękę. - Zapewne dlatego używacie takich dziwnych wyrażen... i w ogóle zachowujecie się nietypowo. Mój mąż i ja spędziliśmy w Europie miesiąc miodowy. Odwiedziliśmy naturalnie Paryż, ale muszę przyznać, że nie spotkaliśmy nikogo... kto malowałby paznokcie lub wyrażał się tak dziwnie.

- Och, my jesteśmy wyjątkowi, zapewniam panią.

- Ale ja nie maluję paznokci - syknął Kane.

- Bardzo śmieszne!

- Po to tylko żyję, kochanie, żeby cię rozbawiać - odparł z ironicznym uśmiechem.

Pani Broadstreet patrzyła na nich z coraz większym niesmakiem.

- Jeśli życzy sobie pani porozmawiać ze mną na osobności, każę przynieść herbatę do salonu.

- Z prawdziwą przyjemnością!

- To nie znaczy, że mam coś do ukrycia w kuchni - zapewniła gorliwie pani Broadstreet. - Rzecz w tym, że kucharka się buntuje, kiedy obcy zagląдают do jej królestwa.

- Rozumiem doskonale. Będziemy w salonie - oświadczyła Kane'owi Susanna.

- Gerto, przynieś nam herbatę - rozkazała pani B.

- Nie pora na herbatę - powiedziała nieśmiało Getta.

- Nie szkodzi. Potraktujmy to jak specjalną okazję.

- Piękny salon - powiedziała z zachwytem Susanna, kiedy obie usiadły w fotelach. - Proszę mi łaskawie wybaczyć wszelkie nietakty. Nie chciałabym, żeby uznała mnie pani za osobę, która nie posiada dobrych manier. Rzecz w tym, że nie przywykłam jeszcze do obyczajów panujących w tej części świata.

- „Eleganckie maniery stanowią cenniejszą przepustkę do wyższych sfer towarzyskich niż majątek, uroda czy zalety umysłu”. Przeczytałam to zdanie w którymś z podręczników etykiety towarzyskiej.

- Czy zechciałaby mi pani jeden z nich pożyczyć?

- Oczywiście. Trzymam je na tej półce. Może pani pożyczyć każdą książkę z mojego księgozbioru.

Pani B. była osobą zbyt dobrze wychowaną, żeby zapytać wprost Susannę, ku czemu zmierza ich rozmowa. Susanna zaś nie mogła się przyznać, tak po prostu, że zbiera informacje o Elsbeth Whitaker.

Zachęciła panią B. do zwierzeń, wysłuchiwała cierpliwie opowieści o Savannah, o tym, jak miasto zmieniało się i dalej zmienia.

- Wielu ludzi z mojej sfery nie wybaczyło mi do tej pory małżeństwa z człowiekiem z Północy. Zostałam poniekąd wyklęta. Po śmierci męża doszłam do wniosku, że prowadzenie pensjonatu da mi szansę zarobku, a jednocześnie pozwoli utrzymać jaką taką pozycję społeczną. Jak już pani wspomniałam, straciłam ją wcześniej, ale zależało mi, żeby nie spaść jeszcze niżej. W

najcięższych dla mnie czasach Elsbeth Whitaker była jedną z niewielu życzliwych mi osób.

- Znała pani Elsbeth Whitaker?

- Niezbyt dobrze. Była młodsza ode mnie. Cóż za tragiczny los przypadł w udziale tej kobiecie! Pochodziła z bardzo starej rodziny osiadłej od dawna w Savannah. Rodzice wydali ją za Haywarda Whitakera, którego korzenie rodzinne sięgają czasów pierwszych osadników. Hayward jest potomkiem generała Oglethorpe'a, założyciela Savannah. Whitakerowie mieli dwoje dzieci, ale jedno i drugie zmarło w dzieciństwie. Miesiąc temu Bóg zabrał do siebie nieszczęsną Elsbeth. Doprawdy smutna historia.

Zanim Susanna zdążyła coś powiedzieć, pani B. zmieniła temat.

Opowiedziała kilka najświeższych plotek, nie mających żadnego związku z rodziną Whitakerów, potem zaczęła sobie przypominać szkolną francuszczyznę.

- Proszę mi opowiedzieć coś jeszcze o Elsbeth Whitaker - poprosiła ją w końcu Susanna, uznając, że była wystarczająco cierpliwa, żeby nie wzbudzić tym pytaniem specjalnych podejrzeń.

- Niewiele można powiedzieć o tej kobiecie. Jej śmierć była wielką tragedią.

- Czy nie mówi się przypadkiem o jakimś romantycznym skandalu związanym z nazwiskiem Whitakerów? - Susanna wiedziała, że to obcesowe pytanie, ale po prostu samo wyrwało jej się z gardła.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą nawet gdyby było inaczej, nie rozmawiałabym o takich sprawach z obcymi ludźmi.

- Doceniam pani dyskrecję. - Susanna westchnęła ciężko, jeszcze raz dziękując losowi za to, że zetknął ich z panem Ogilvie.

- Chcielibyśmy pana wynająć, panie Ogilvie - powiedziała Susanna.

- Miło mi to słyszeć. Przyznam, że poczyniłem wstępne dochodzenie na własną rękę. Miałem przeczucie, że się spotkamy. Proszę mówić do mnie po imieniu.

- Może powiesz nam na początek, kim jest rudowłosa kobieta, którą spotkaliśmy wczoraj w biurze Whitakera. Wyglądało na to, że ona i Hayward są czymś więcej niż parą przyjaciół - powiedział Kane.

- Ma czarny pieprzyk nad wargą i używa bardzo oryginalnych perfum - dodała Susanna.

- Pani Lucille Hilton. To perfumy z herbacianych róż, zrobione specjalnie dla niej. Nie zdziwiłbym się, gdyby te róże nazywano jej imieniem.

- Kim jest pani Hilton?

- Jedną z najpiękniejszych kobiet w tym mieście i klientką Haywarda.

- Nie rozmawiali jak adwokat z klientką - zauważyła Susanna. - Gdzie był Whitaker tej nocy, kiedy zginęła Elsbeth?

- Cały wieczór spędził w domu.

- A pani Hilton?

- Odwiedziła Whitakera w celu omówienia z nim jakichś formalności związanych z niedawną śmiercią jej męża.

- Zaraz, poczekaj! - wykrzyknął Kane. - To znaczy, że swojego starego też sprzątnęła?

- Co proszę...? - Oliver zamrugnął ze zdziwienia oczami.

- Skarbie, wprawiasz Olivera w zakłopotanie swoim niezrozumiałym językiem.

- Dziękuję, maleńka, że zwracasz mi na to uwagę. Wciąż się zapominam.

- Kane objął Susannę w pasie i mocno przytulił.

- Jesteście nowożeńcami?

- Coś w tym rodzaju - mruknęła Susanna.

- A więc nie podejrzewam - Kane wrócił do tematu - żeby pani Hilton sprzątnęła... to znaczy zabiła swojego męża, zrzucając go ze schodów.

- Nic podobnego - odparł Oliver. - Jej mąż zmarł na serce. Czy masz jakieś powody, żeby podejrzewać panią Hilton o zamordowanie jej męża? Miał osiemdziesiąt lat i nie cieszył się dobrym zdrowiem.

- Ona wygląda na dużo młodszą i chyba jest w dobrej kondycji.
- Oczywiście przeprowadzę dochodzenie... - Oliver zanotował coś na

kartce.

- Nie wierzę, żeby ta kobieta kogoś zabiła - powiedziała Susanna. - Sprawdziłabym raczej, co dokładnie, minuta po minucie, porabiał Whitaker tamtej nocy.

- Znam kogoś, kto może wypytać jego służbę. Niewykluczone, że pojawią się dodatkowe szczegóły.

Kiedy pożegnali się z Oliverem i wyszli na ulicę, Kane przystanął nagle, jakby wpadł na jakiś pomysł.

- Wiesz co? Poweszę trochę w tawernie, tam, gdzie byliśmy przedwczoraj.

- Tylko nie uprawiaj hazardu!

- A nie poradzisz mi, żebym trzymał się z daleka od twojej koleżanki Polly?

- I tak nie zwracasz uwagi na moje rady, więc po co mam strzepić język? - Zadowolona, że do niej należało ostatnie słowo, Susanna weszła na schody frontowe pensjonatu. Obejrzawszy się dyskretnie przez ramię, zaczęła, aż Kane zniknie za rogiem ulicy, po czym zeszła z powrotem na trotuar.

- Dokąd pani idzie? - spytał Mikey.

- Od dawna tu stoisz? - zapytała speszona.

- Wystarczająco długo, żeby widzieć, jak pani udawała, że wchodzi do domu.

- Nie udawałam, tylko zmieniłam plany - powiedziała łagodnie, pomyślawszy nagle, że mogłaby do tych planów wykorzystać Mikeya. - Mam dla ciebie robotę - oznajmiła chłopcu.

- Nie kradnę już portfeli - oświadczył stanowczo.

- Nie o taką robotę mi chodzi. Chciałabym cię prosić o towarzystwo przy... zakupach - wymyśliła na poczekaniu.

- Zakupach? - Mikey zapytał z podobną nieufnością, z jaką reagują na to słowo dorośli mężczyźni.

- Zapłacę ci trzy centy, jeśli pochodzisz ze mną po sklepach i będziesz nosić za mnie pakunki. Zgoda? - Nie wiedziała, ile warta jest taka suma w 1884 roku, ale Mikey uznał ją za wystarczającą.

Nie odstępując Susanny ani na krok, chłopiec co chwila powtarzał:

- Tu nie ma żadnych sklepów,

- Wiem, dokąd idę. Wstąpimy do biura pana Whitakera.

- Chce mu pani powiedzieć, że ukradłem kilka portfeli? - Zatrzymał się, patrząc na Susannę niespokojnym wzrokiem.

- Nie. Mam do niego prywatną sprawę.

Nieobecny poprzedniego dnia urzędnik kancelaryjny - młody blondyn o twarzy anioła - siedział tym razem przy swoim biurku.

- Niestety, nie zastała pani pana Whitakera - powiedział Gordon Stevens.

- Nie przyszedłam rozmawiać z panem Whitakerem. Wstąpiłam po drodze, żeby zapytać, czy nie zostawiłam tu wczoraj chusteczki.

- Nie, nie znaleźliśmy żadnej chusteczki.

- Jest pan pewien? - Susanna przesunęła palcami po naszyjniku. - Biała haftowana chusteczka z koronkowym wykończeniem... Panie Stevens, uważam pańskie zainteresowanie moim... moją biżuterią za niegodne dżentelmena.

Mężczyzna oblał się rumieńcem.

- Proszę mi wybaczyć, ale... chodzi o to, że pani naszyjnik przypomina mi...

- Elsbeth Whitaker? Słyszałam. Tragiczna historia. Proszę sobie wyobrazić, że pan Whitaker powiedział mi wczoraj, iż jego żona została pochowana w takim właśnie naszyjniku albo innym, do złudzenia podobnym do tego, który mam na szyi. Wstrząsające!

Twarz Stevena z purpurowej stała się biała jak kreda.

- Biedny chłopiec, zdenerwowałam pana. Dlaczego, myślała gorączkowo. Czy ty coś wiesz, Gordonie? Znasz tajemnicę śmierci Elsbeth?

- Proszę mi wybaczyć, ale mam dużo pracy, którą muszę skończyć przed powrotem pana Whitakera. Żałuję, że nie znalazłem pani chusteczki.

- Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy. Porozmawiam z panem Whitakerem wieczorem, kiedy wróci do domu.

- Dziś wieczorem ma ważne spotkanie.

- Wobec tego wpadnę tutaj.

- To spotkanie nie odbędzie się w biurze.

- Szkoda! - Susanna wytrwała w milczeniu, które zawisło nad nimi jak gradowa chmura. Miała nadzieję, że Stevens powie coś jeszcze, usłyszała jednak ciężkie westchnienie.

- Muszę wrócić do pracy. Mam wiele do zrobienia. Ja też, pomyślała.

Kiedy wróciła do pensjonatu, okazało się, że Kane'a jeszcze nie ma. Ucieszyła się. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jej brakowało tej odrobiny prywatności. Zerwała z siebie żakiet, potem krynolinę. Po wczorajszej męczarni z turniurą i tak czuła się w niej dosyć swobodnie, marzyła jednak o parze szortów i luźnej koszulce. Zaraz, zaraz... Potrzeba jest matką wynalazku!

Pięć minut później stała przed lustrem w batystowym kaftaniku i majtkach z nogawkami, które podciągnęła nad kolana.

- Szorty to może nie są - mruknęła do siebie - ale ujdą w tłoku.

Połknęła ostatnią czekoladkę, usprawiedliwiając się w duchu, że „do jutra by się roztopiła”, włożyła do ust kawałek gumy do żucia, wreszcie - coraz bardziej zadowolona z życia - wyjęła z torby walkmana. Kiedy nałożyła na uszy słuchawki, zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że znów żyje w dwudziestym wieku i jest w swoim domu. Podrygując w rytmie przebojów Billy Joela, zaczęła śpiewać do niewidzialnego mikrofonu.

Jakiś krzyk wyrwał ją z transu. Na pewno nie był to Billy Joel.

Kiedy otworzyła oczy, omal nie zemdląła na widok stojącej w progu Gerty, ze stosem prześcieradeł na rękach.

- Gott im Himmel! - Upuściła na podłogę prześcieradła, przeżegnała się zamaszystym gestem i wybiegła z pokoju, przeraźliwie wrzeszcząc.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O Boże! Doigrałam się! Klnąc pod nosem, Susanna zdjęła słuchawki i wyłączyła walkmana. Schowała go do torby, potem wciągnęła przez głowę jakieś ubranie, które wpadło jej w ręce i wyglądało na suknię.

Zbiegając po schodach, modliła się, żeby „suknia” nie okazała się częścią bielizny albo nocną koszulą. Obie kobiety - Gertę i panią B. zastała w jadalni. Pani B. na jej widok nie mrugnęła nawet okiem, natomiast służąca drżała jak w febrze i klęcząc przed panią, płakała w jej fartuch.

- Gerta mówi, że widziała panią w pokoju opętaną przez szatana. Podobno jakieś dziwne dźwięki, jakby łomot, wydobywały się z pani głowy, ale nie z ust.

- Wytłumaczę to.

- Mam nadzieję, że nie są to francuskie obyczaje - powiedziała pani B. z irytacją w głosie.

- Nie, oczywiście, że nie. Widzi pani... Mój mąż, Kane, jest... wynalazcą. Chciałam tylko wypróbować jeden z jego ostatnich wynalazków.

- Wynalazcą? Kimś w rodzaju pana Edisona z Północy, o którym czytałam w gazecie?

- Właśnie.

- Pani mąż zbudował maszynę, która wydaje dźwięki?

- Podobne do ludzkiej mowy.

- No widzisz, Gerto. - Pani B. poklepała służącą po ramieniu. - Mówiłam ci, głupia dziewczyno, że nie ma się czego obawiać. Pan Wilder jest wynalazcą.

Buduje mówiącą maszynę, stąd ten hałas, który odebrał ci ze strachu rozum. - Z dobrotliwym uśmiechem na twarzy zwróciła się do Susanny: - Chętnie bym obejrzała taki wynalazek.

- Och, kłopot w tym, że mój mąż nie pozwala oglądać swoich zabawek, póki ich nie skończy.

- Zabawek? - powtórzyła skonfundowana pani B.

- Tak nazywam te jego wynalazki.

- To prawda - przerwał jej Kane, wyraźnie rozbawiony fragmentem rozmowy, który usłyszał, wchodząc do jadalni. - Co tu się dzieje, jeśli można wiedzieć?

- Nic takiego, kochanie. Gerta weszła do naszego pokoju, kiedy słuchałam... twojej maszyny dźwiękowej.

- Mojej maszyny dźwiękowej, ach tak... - Kane starał się zyskać na czasie.

- No właśnie. Oczywiście, przestraszyła się biedna, kiedy zobaczyła, jak chodzę... a raczej tańczę po pokoju, na wpół rozebrana...

- Na wpół rozebrana? - Kane zaczął żałować, że nie wrócił wcześniej. W tawernie niczego się nie dowiedział, poza tym, że istotnie plotkowano o romansie Whitakera z panią Hilton.

- Opowiem ci o tym później ze szczegółami. W każdym razie wszystko wyjaśniłam pani Broadstreet.

- Nie mogę cię zostawić samej na pięć minut, bo od razu wpadasz w tarapaty - oświadczył Kane, kiedy znaleźli się na górze.

- Nie było cię trochę dłużej niż pięć minut.

- Tęskniłaś za mną?

- Nie bądź śmieszny.

- Więc jak spędziłaś popołudnie - poza tym, że udało ci się doprowadzić do apopleksji biedną Gertę?

- Właśnie to mi zajęło najwięcej czasu. Powiedz, czego się dowiedziałeś w tawernie.

- Że drużyna baseballowa z Nowego Jorku jest równie kiepska jak w naszych czasach.

- I to ci zajęło cztery godziny?

- Liczyłaś czas?

- Przeciwnie. Spędziłam bardzo pracowite popołudnie.

- Słyszałem. Wystraszyłaś pokojówkę.

- I kancelistę pana Whitakera.

- O czym ty mówisz?

- Poznałam tajemniczego Gordona Stevensa, pomocnika Whitakera, który nosi w portfelu fotografię Elsbeth. Zachowywał się bardzo nerwowo. Na pewno coś ukrywa.

- Musi wiedzieć o romansie szefa z tą rudą.

- To, że ją obejmował czy pocałował w policzek, nie świadczy jeszcze o romansie.

- Zgoda. Po to gadałem z facetami z tawerny, żeby się upewnić. Wszyscy uważają, że są kochankami.

- A mówi się, że kobiety plotkują! Wystarczy posłać do baru kilku facetów i posłuchać, o czym rozmawiają. Sport i panienki.

- Skąd o tym wiesz?

- Mam dwóch starszych braci - odpowiedziała posępnie.

- Ja też tęsknię za rodziną.

Kłopot polega na tym, pomyślała Susanna, że twoja rodzina składa się z jednego brata kłamczucha. Zdawała sobie sprawę, że nie jest w stanie przekonać Kane'a o swojej niewinności. Nie tutaj. Muszą wrócić do domu, a wtedy dobierze się do skóry młodszemu Wilderowi.

I zmusi go do odszczekania wszystkich kłamliwych bredni!

- Dlaczego tak spochmurniałaś? - spytał zatroskany. - O czym myślisz?

Co miała mu odpowiedzieć? Że chciałaby rozerwać na kawałki jego brata?

- Myślę, że jeżeli Hayward Whitaker zdradzał swoją żonę, to chyba nikt inny nie miał lepszego powodu, żeby ją zabić.

- Dlaczego on, a nie jego kochanka? Jeśli ta Hilton postanowiła zostać następną panią Whitaker, musiała pozbyć się Elsbeth.

- Nie masz na to żadnych dowodów.

- A ty masz dowód na to, że Hayward Whitaker jest mordercą własnej żony? To poważne oskarżenie.

- Kobiety nie są tak agresywne jak mężczyźni.

- Co ja słyszę! I kto tu jest zwolennikiem równouprawnienia!

- Potwierdzają to statystyki. A ty oskarżasz ją tylko dlatego, że jest kobietą - przez to, co się stało z twoim bratem! To ja - podła uwodzicielka - zagięłam parol na twojego niewinnego braciszka. Hilton też jest kobietą, więc oczywiście ona musi być winna, a niej kochanek!

- Rozmawiamy o pani Hilton czy o tobie? - spytał spokojnie.

Spojrzała na Kane'a i poczuła się jak w pułapce, złapana na pragnieniu rzeczy niemożliwej: żeby jej uwierzył. Tak bardzo tego chciała, że przez długą chwilę nie mogła złapać oddechu. Próbowwała wyczytać coś z jego oczu, zdawało jej się nawet, że dostrzegła w nich iskierkę nadziei. Nadziei na co?

Dźwięk gongu z jadalni rozładował rosnące między nimi napięcie, przypominając, że już od dobrej godziny umierają z głodu.

- Chodźmy - powiedziała ze śmiechem Susanna. - Wolałabym nie nadużywać świętej cierpliwości pani B.

- Słusznie. Ciekawe, ile talerzy zbije Gerta w czasie kolacji. Po takich przeżyciach!

Zbiła trzy. Ale pomimo niezdarności, z jaką ich obsługiwała, kolacja była pyszna - zimne mięso, sałatka z ziemniaków, owoce na deser.

Kiedy najedzeni i zadowoleni wrócili do pokoju, Susanna usiadła w fotelu bujanym i zabrała się do lektury.

- Co czytasz?

- Podręcznik etykiety towarzyskiej. Cóż za subtelności... Do głowy by mi nie przyszło. Popatrz... Zgadnij, co to znaczy. - Sięgnęła po wachlarz i rozłożyła go na wysokości czoła.

- Że jest ci gorąco. Może masz gorączkę?

- Pudło. „Patrzą na nas”.

- Kto?

- Nikt. W każdym razie nie w tej chwili. Dałam ci przykład mowy gestów z użyciem wachlarza. Szybkie wachlowanie się oznacza jestem zaręczona”, a wolne jestem mężatką”.

- Zauważyłem, że wachlujesz się spokojnie.

- Parasolki też służą do sekretnego porozumiewania się. - Podeszła do drzwi, gdzie zostawiła parasolkę pożyczoną od pani B., podniosła ją, ale chcąc sprawdzić coś w poradniku, niechcący ją upuściła.

- I co to znaczy?

- Że jestem niezdarna - mruknęła, rumieniąc się.

Kane podszedł do Susanny i wyjął jej z ręki książkę, nim zdążyła zaprotestować.

- Zaraz zobaczymy... O, tutaj. Upuszczenie parasolki znaczy tyle co „kocham cię”.

Na dźwięk tych słów wypowiedzianych przez Kane'a, zamarło jej serce. Jak by to było, gdyby naprawdę ją pokochał... Gdyby jej ufał, wierzył, całował, tulił w ramionach, zabrał tam, gdzie jeszcze nigdy nie była...

Przecież cię zabrał tam, gdzie nigdy przedtem nie byłaś! - drwiła bardziej przyziemna strona jej osobowości. Do dziewiętnastowiecznego Savannah!

Niezupełnie... Wewnętrzny głos rozsądku przypomniawszy jej, że to ona była wszystkim winna. Wycieczkę w dziewiętnasty wiek mogła zawdzięczać tylko sobie. A Kane...? Kane swoim czarodziejskim pocałunkiem odkrył przed nią świat zmysłowej rozkoszy, o którym wcześniej nie miała pojęcia. Wyobraziła sobie nagle, że się kochają... Drżącą ręką rozwinęła wachlarz.

- Teraz wachlujesz się bardzo szybko, To znaczy, że jesteś zaręczona.

- To znaczy, że jest mi gorąco.

- Więc niby w jaki sposób faceci odgadywali właściwe znaczenie tych wszystkich gestów? Oprócz parasolek i wachlarzy były przecież chusteczki, rękawiczki... i Bóg wie, co jeszcze.

- Nie rozpraszała ich ani telewizja, ani radio.

- I pomyśleć, że mężczyźni żyjący u schyłku dwudziestego wieku narzekają na twarde warunki życiowe!

Twarde. Powinien ostrożniej dobierać słowa. Kiedy patrzył na Susanne, twardość kojarzyła mu się z jego udręką cielesną, rozpaczliwym niezaspokojeniem, które znosił coraz trudniej...

Myślał tylko o tym, żeby ją pocałować. Miał ochotę cisnąć książką o podłogę i wziąć Susanne w ramiona. Zanieść ją do łóżka i powoli, bez pośpiechu, zdejmować z niej kolejne warstwy ubrania, znacząc pocałunkami każdy obnażony centymetr ciała. Chciał doprowadzić ją do szaleństwa, sprawić, żeby pragnęła go tak samo jak on jej. Patrzeć w jej brązowe, zachodzące mgłą oczy, kiedy będzie w nią wchodził...

- Doszedłeś do jakiegoś sensownego wniosku? - spytała, żeby przerwać nerwowe, gęstniejące niebezpiecznie milczenie.

- Do sensownego wniosku? - powtórzył jak automat.

- Masz własną listę podejrzanych?

- No więc tak... Powiedzmy, że znamy motyw zbrodni. Teraz musimy sprawdzić, kto miał możliwość popełnienia tego czynu, czyli ustalić, gdzie dokładnie byli oboje podejrzani tamtej tragicznej nocy.

- Jest troje podejrzanych - przypomniała mu Susanna. - Nie zapominaj o zdjęciu Elsbeth, które znaleźliśmy w portfelu Gordona Stevensa.

- Niby po co Stevens miałby zabijać Elsbeth? Co mógłby zyskać dzięki jej śmierci?

- Może miał obsesję na jej punkcie? Takie rzeczy się zdarzają. Spokojni, pozornie normalni faceci tworzą sobie wyimaginowane życie, które nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

- Chcesz mi zasugerować, że Chuck żyje w wyimaginowanym świecie?

- Nie przychodzi mi do głowy żadna inna przyczyna, dla której kłamię w taki sposób.

- Dobrze, powiedzmy, że masz rację. Istnieje więc troje podejrzanych. Ale ja jestem pewien, że zrobiła to niejaka Hilton...

Zdruzgotana, przestała go słuchać. Nie było sposobu, żeby przekonać rozsądnego na pozór człowieka, że jego ukochany braciszek jest zdolny do kłamstwa.

Kiedy przebrał się w nocną bieliznę i położył do łóżka,

Susanna wciąż czytała książkę - a przynajmniej udawała, że ją czyta.

- Nie kłudzisz się? - zapytał.

- Nie, ale ty śpij. Ja jeszcze poczytam.

- Proszę bardzo. - Wzruszył ramionami i zaciągnął moskitierę.

Dopiero kiedy usłyszała jego ciche, charakterystyczne pochrapywanie, zgasiła lampę. Błękitne światło księżyca rozpraszało mrok na tyle, że mogła bez trudu się przebrać. Włożyła czarne męskie spodnie, frak oraz cylinder, pod którym starannie ukryła włosy.

- Jedź za tą taksówką - rozkazała basem zaspanemu dorożkarzowi. W chwili kiedy dojechali na miejsce, Hayward Whitaker wychodził właśnie z domu, szybkim krokiem zmierzając do wynajętego powozu.

- Za przeproszeniem, co pan powiedział, sir?

- Słyszałeś - odburknęła. - Jedź za tą taksówką... to znaczy za powozem. Nie wolno ci go zgubić, żeby nie wiem co. Dostaniesz za to dodatkowe pięć dolarów. - W tej samej sekundzie, w której to powiedziała, dorożkarz świsnął batem i koń ruszył.

Zupełnie, jakbym zaproponowała temu facetowi stówę, pomyślała zdziwiona, dopiero po chwili reflektując się, że pięć dolarów w tych czasach może mieć sporą wartość. Mniejsza o pieniądze. Czowała przez skórę, że tej nocy wydarzy się coś bardzo ważnego. I to właśnie tam, dokąd jechał Whitaker. Musiała zdążyć na czas.

Zatrzymali się przed miejscowym cmentarzem. Zdenerwowany dorożkarz ostrzegł Susanne, że naraża się na spotkanie z duchami, ale odprawiła go, pocieszając się, że jeden z nich - duch Elsbeth - będzie jej pomagał.

Bardziej niż zjaw cmentarnych obawiała się Haywarda Whitakera. Widziała, jak wychodził z powozu. Nie tracąc go oczu, skradała się między nagrobkami po szeleszczącym listowiu.

Gęstniejące na niebie chmury sprawiały, że jak na pełnię księżyca, noc była dosyć mroczna. W powietrzu unosił się duszny zapach gnijących roślin. W księżycowej poświacie gałęzie masywnych dębów zdawały się żyć własnym cmentarnym życiem, rzucając na ziemię upiorne cienie.

Susanna pomyślała z zadowoleniem o swojej odwadze, kiedy ktoś chwycił ją za plecy i dłonią zasłonił usta.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy zaczęła walczyć z napastnikiem, spadł jej z głowy cylinder, a włosy rozsypały się na ramiona.

- Co ty, do diabła, wyrabiasz? - spytał męski głos.

To był Kane. Odwróciła się gwałtownie i westchnęła z ulgą.

- Tylko nie próbuj zemdleć - warknął ze złością. - I nie rób hałasu.

Zmierzyła go piorunującym wzrokiem, a potem zaczęła wypatrywać w mroku Whitakera. Zniknął! Nie było też powozu, którym przyjechał na cmentarz.

- Dokąd on mógł pójść?

- Kto?

- Hayward Whitaker. Jasna cholera! Kogo innego miałabym śledzić w takim miejscu?!

- Licho cię wie.

- Niech cię licho porwie! Co za głupota. Musiałeś tu przyleźć i wszystko spartaczyć?

- Zaraz, zaraz... Śledziłaś Whitakera na cmentarzu? Zwariowałaś do reszty?

- To nie ja się z nim umówiłam w tym miejscu.

- Z kim miał się tu spotkać?

- A skąd, do diabła, mam wiedzieć? Kiedy mnie zaatakowałeś, był sam.

- Zdaje mi się, że po to wynajęliśmy tego cholernego detektywa, żeby to on odwał za nas brudną robotę. Nie rozumiesz, że nadstawiasz własną głowę? A gdyby cię zobaczył? On albo inni? Gdyby to jakieś zbiry zaszły cię z tyłu tak jak ja? Życie ci zbrzydło?

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytała drżącym głosem.

- Widziałem, jak wychodziłaś z pensjonatu. Przez cały wieczór zachowywałaś się podejrzanie, więc zatrzymałem jakiś powóz i przyjechałem za tobą.

- Gdzie jest ten powóz?

- Przed bramą cmentarza.

- No tak! Jeśli Whitaker już stąd wyszedł, musiał go zauważyć.

- Normalnie bramy cmentarza w nocy są zamknięte. Powiedział mi to woźnica. Stałem w takim miejscu, gdzie nikt go nie zauważy.

- W porządku. Może on zauważył, dokąd poszedł Whitaker. - Susanna podniosła cylinder, otrzepała go z ziemi i włożyła na głowę.

- Wierzyć mi się nie chce, że coś równie głupiego mogło ci przyjść do głowy! - mruczał Kane, idąc za nią w kierunku głównego wyjścia.

- Sam jesteś głupi! Tłumaczę ci, że śledziłam...

- Mogłaś przypłacić to życiem! W jaki sposób wrócę do naszych czasów, jeśli tobie się coś złego stanie?

- No właśnie! Nareszcie wyszło szydło z worka. Jestem dla ciebie biletem powrotnym do dwudziestego wieku. Tylko dlatego tak się o mnie martwisz!

- Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli.

- Nie wiem - powiedziała wyniośle, wspinając się na stopnie powozu.

Kane objął ją w talii, podniósł i wrzucił do środka. Potem wsiadł za nią bez słowa, zamknął drzwi i zapukał w dach powozu na znak, że mogą jechać.

Susanna zapomniała nawet zapytać woźnicę, czy zauważył Whitakera. Milczała uparcie, wpatrując się w okno.

- Musimy to sobie wyjaśnić - zaczął Kane. - Raz na zawsze...

- Powiedziałam już - zmierzyła go wściekłym spojrzeniem - że wiem doskonale, co miałeś na myśli.

- Więc musisz wiedzieć i to... - Przyciągnął ją brutalnie i zaczął całować. Wzburzenie nie pozwalało mu kontrolować swojego zachowania. Wiedział też, że ten pocałunek może ukoić nieco złość, ale na pewno nie pomoże mu w

myśleniu. Nie dbał o to. Teraz, kiedy trzymał ją w ramionach i dotykał wargami jej ust, nic nie było w stanie go powstrzymać - tylko ona sama.

Ale Susanna go nie powstrzymywała.

Gotowa była zmierzyć się z atakiem furii Kane'a, dać mu jeszcze jedną nauczkę, ale wybuchowi namiętności nie zdołała się oprzeć.

Westchnęła cicho, kiedy poczuła ciepły oddech na szyi, zwinne palce, którymi rozpiął wszystkie guziki jej koszuli, a potem, nagle, obie dłonie obejmujące zachłannym gestem jej napięte do granic bólu piersi.

Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Bliska płaczu, czuła się tak, jakby przez całe życie czekała na tę właśnie chwilę.

Jęknęła cicho, kiedy pochylił głowę, objął wargami koniuszek jej piersi i zaczął ssać powoli, potem szybciej, w końcu zaczęła drzeć oszołomiona i tracić oddech. Nie zauważyła nawet, kiedy rozpiął jej spodnie. Dopiero kiedy poczuła między udami jego ciepłe palce, chciała prosić, żeby przestał. Była u kresu wytrzymałości, ale Kane pieścił ją w taki sposób, że nie było odwrotu...

Opadła na plecy i uniosła lekko biodra. Jej ciało przeszyło drżenie.

Kane przyglądał się Susannie zamglonym wzrokiem. Błogi wyraz jej twarzy podniecił go bardziej, niż tego chciał... Nabrał głęboko powietrza i zamknął oczy. Kiedy rozpiął pierwszy guzik rozporka, powóz zahamował gwałtownie, a on stracił równowagę i spadł na podłogę.

Nagły wstrząs sprowadził ich z obłoków na ziemię w ułamku sekundy. Kane podniósł się na kolana, klnąc pod nosem. Był wściekły i czuł się upokorzony. Trudne do ukrycia podniecenie wzmagało jego frustrację. Susanna wyglądała na półżywą. Wpatrywała się w niego osłupiałym wzrokiem - mimowolnie dolewając oliwy do ognia.

- Zapnij frak - burknął, słysząc, że woźnica podchodzi do drzwi powozu, żeby je otworzyć.

Miała wrażenie, że zapada się pod nią ziemia. Wystarczyły dwa nieprzyjemne słowa, ułamek sekundy, żeby z chwili rozkoszy nie zostało nic

poza upokorzeniem. Jak mogła sobie na to pozwolić? Zrobiła wszystko, żeby potwierdzić jego podejrzenia.

Raczej nie przyszłoby mu do głowy, że od kilku lat nie kochała się z mężczyzną, nie mówiąc o tym, że umarłby ze śmiechu, gdyby mu powiedziała, że zdarzyło jej się to dwa razy w życiu... Chociaż z drugiej strony, myślała sarkastycznie, abstynencja i celibat są w modzie! Czy możliwe, żeby Kane o tym nie wiedział?

Zapięła pospiesznie guziki koszuli i fraka, wyskoczyła z powozu i wemknęła się do pensjonatu, nie czekając na Kane'a, który musiał rozliczyć się z woźnicą.

Ukrywszy się w ciemnej toalecie, Susanna próbowała wziąć się w garść, uspokoić, ale na próżno. W jaki sposób miała spojrzeć Kane'owi w oczy? Zaczęła modlić się do Elsbeth, żeby uwolniła ją z pułapki czasu i pomogła wrócić do rzeczywistości, w której do tej pory żyła.

Magiczne niebieskie światło nie pojawiło się, ale odczuła wokół siebie aureę czułości, jak gdyby Elsbeth - na swój sposób - chciała ją pocieszyć.

Do pewnego stopnia to pomogło. Susanna przestała płakać i zaczęła zastanawiać się, w jaki sposób wrócić do normalności, ukrywając przed Kane'em swoje upokorzenie.

Niepotrzebnie się wysilała. Kiedy zdobyła się wreszcie na odwagę i wróciła do pokoju, Kane rozwiązał dręczący ją problem dwoma zdaniem.

- To, co zdarzyło się w powozie, było nieporozumieniem. I nigdy się nie powtórzy.

Skinąwszy głową, zniknęła za parawanem, żeby jak najszybciej zdjąć z siebie męskie ubranie. Umyła się dokładniej niż zwykle, wiedziała jednak, że zwykłą wodą z mydłem nie zmyje z siebie wspomnienia jego dotyku. Kiedy w zapiętej po szyję koszuli weszła bezszelestnie do łóżka, Kane mruknął coś o długim spacerze, a ona miała tylko jedno marzenie: zamienić się w małą kulę i zniknąć.

Usnęła dopiero koło trzeciej nad ranem. Kiedy się obudziła, Kane był już na dole, gotowy do śniadania.

Wystarczyło jej jedno spojrzenie, żeby wyczytać w jego niebieskich oczach gniew i pożądanie.

Wyprostowała się odruchowo i uniosła brodę. Była gotowa do walki. Ani myślała zachowywać się jak afektowana panienka. I nie zamierzała być ofiarą jego duchowych rozterek. To on ją całował i sprowokował sytuację, której się teraz; wstydzi. Jego sprawa! Niech ma poczucie winy i robi ze swoim rozdwojeniem jaźni, co chce!

Zanim Susanna usiadła do stołu, pani B. przedstawiła swoich gości.

- Panny Abernathy z Savannah. Panno Agnes, panno Agatho, pozwolą panie, że im przedstawię panią Susanne Wilder, która przyjechała do nas aż z Francji.

Obie kobiety miały w sobie coś królewskiego, co sprawiało, że wyglądały jak damy ze starych portretów.

- Profesor Dudley Hering z Bostonu.

- Czuję się zaszczycony. - Profesor ujął dłoń Susanny i skłonił głowę. - Szanowny małżonek miał nam właśnie opowiedzieć, jak się państwu żyje we Francji.

Kane nie tylko nie zareagował, ale ani na moment nie przerwał jedzenia.

- Nie chcielibyśmy państwa nudzić - odpowiedziała niepewnie, mając już jakie takie pojęcie o wiedzy Kane'a na temat dziewiętnastowiecznej Francji.

- Nasze miasto ożywia się niezmiernie w ostatnich dniach listopada - powiedziała panna Agatha - kiedy ci wszyscy wysocy, przystojni plantatorzy z okolic zjeżdżają do portu. Czy zostaniecie państwo w Savannah do tego czasu?

- Nie - potrząsnęła głową Susanna. - Nie możemy zostać tak długo. - Rzuciła dyskretne spojrzenie Kane'owi, który zbył ją obojętnym milczeniem. Postanowiła odpłacić mu pięknym za nadobne.

Pięknym za nadobne... Uśmiechnęła się. Coraz częściej łapała się na wyszukanych zwrotach, archaicznych wyrażeniach, a nawet na myśleniu jak kobieta dziewiętnastowieczna. Doszła do wniosku, że jakaś część jej osobowości pasuje do tych czasów, ich elegancji i wdzięku.

Tej strasznej mody nie polubiłaby nigdy: w sukni z turniurą czuła się jak w dybach. Marząc o parze dżinsów, przypomniała sobie męskie spodnie, w których wybrała się na cmentarz. To cud, że nie umarła ze strachu - i to przez Kane'a, który później...

Nie! Nie powinna o tym myśleć. Nigdy więcej!

Po śniadaniu Kane zniknął gdzieś bez słowa, a ona wciąż o nim myślała. W końcu ubrała się i wyszła.

Mikey zgodził się towarzyszyć jej w „obchodzie” miasta, jak nazywały to siostry Abernathy. Susanna postanowiła zwiedzić okolice portu rzecznego. Gdyby miała zapamiętać na zawsze widok tamtej przystani, wybrałaby dwa obrazy - widoczny z oddali gęsty las masztów, który zdradzał liczbę zakotwiczonych u nabrzeża żaglowców, a od strony lądu - rząd spichlerzy i magazynów. Wiedziała, że sto lat później, po pieczołowitej odbudowie portu, którą przeprowadzili miłośnicy zabytkowej części Savannah, otwarto w nich eleganckie butiki i restauracje.

- Czy we Francji są podobne miejsca? - spytał Mikey.

- Tak, dzielnice portowe są równie gwarne i ruchliwe.

- Prawdziwy ruch zaczyna się tu dopiero jesienią - powiedział z dumą Mikey. - Wtedy sprzedaje się większość bawełny. Kolejka statków, które czekają na załadowanie ciągnie się daleko, daleko, aż do... Francji! - wykrzyknął.

- Jejku! - roześmiała się Susanna.

- Znowu mówi pani po francusku? - Nie czekając na odpowiedź, Mikey dał ręką znak do odwrotu. - Chodźmy. Lepiej nie pałętać się tutaj za długo. Można mieć kłopoty.

Kłopotów miała aż nadto. Ale największym z nich było pojawienie się w jej życiu Kane'a Wildera.

- Hej, niech pani patrzy! To ta elegancka ruda dama, o którą pani pytała! - wykrzyknął Mikey, kiedy w drodze do domu mijali salon krawiecki.

Nie mogła przegapić okazji, którą zsyłała jej opatrność.

Weszła do środka, ale pani Hilton, pochłonięta rozmową z właścicielką salonu, nie odwróciła głowy ani na dźwięk dzwonka nad drzwiami, ani na kolejne chrząknięcia. W końcu Susanna wpadła na nią, udając bezbrzeżne zdziwienie.

- Witam! - Uśmiechnęła się promiennie. - Fantastyczne miejsce na przypadkowe spotkanie. Poznałyśmy się w biurze Haywarda Whitakera, nie pamięta pani? Mam na imię Susanna.

Pani Hilton przyjrzała się naszyjnikowi Susanny, a potem - ku jej zaskoczeniu - zaczęła mówić płynną francuzczyzną.

- Słyszałam, że mieszka pani we Francji? Czy to prawda?

- Tak. Czy to Hayward opowiadał pani o mnie?

- Nie wiedziałam, że zna pani Haywarda - odparła z błyskiem niepokoju w oczach.

- Nie znam. Za to pani sprawiała wrażenie jego bliskiej znajomej.

- Za pozwoleniem, w jakiej części Francji znajduje się pani dom?

- To mała miejscowość.

- Pani rodzice byli Amerykanami?

- Nadal są Amerykanami. Oboje cieszą się doskonałym zdrowiem.

- Doprawdy? Muszą być bardzo starzy - co stwierdziwszy z przekąsem, pani Hilton zaczęła mówić po angielsku. - Jest pani przyjaciółką Andrei Hall z Nowego Jorku?

- Chodzi pani zapewne o Altheę Hall.

- Jest pani jej przyjaciółką?

- A czemu zawdzięczam pani ciekawość?

- Proszę mi wybaczyć, ale odniosłam wrażenie, że chce się pani dowiedzieć czegoś więcej o mnie, proponuję więc fair play - ciekawość za ciekawość.

- Oczywiście, że chciałam poznać osobę z pani szykiem i elegancją. - Susanna postanowiła odwołać się do kobiecej próżności pani Hilton. - Jak pani widzi, w sprawach mody jestem ignorantką. Moi rodzice mieli artystyczną naturę i nie wpajali we mnie takich umiejętności jak nadążanie za modą czy przestrzeganie nienaganych manier.

- Pani ojciec jest artystą? Kilka lat temu, zwiedzając Paryż, obejrzałam kilka okropnych bohomazów malowanych w stylu, który oni nazywają impresjonizmem. Szaleńcy! Te krzykliwe barwy!

- Na pani miejscu kupiłabym tyle obrazów Moneta, na ile tylko mogłabym sobie pozwolić - powiedziała Susanna, doskonale wiedząc, że pani Hilton jej radę zlekceważy.

- Mogę zrozumieć tę opinię, skoro sama pani przyznaje, że brak jej wyrafinowanego poczucia smaku. Skąd, na przykład, pochodzi pani dzisiejszy strój? Chyba nie z Francji?

- Nie. Nie z Francji - odparła z uśmiechem. - Z kufra właścicielki naszego pensjonatu. Proszę sobie wyobrazić, że skradziono nam wszystkie bagaże, dlatego w kwestii ubioru musimy liczyć na uprzejmość gospodyni. Dopóki nie sprawimy sobie nowej garderoby. Właśnie w tej chwili przyszło mi do głowy, że niedaleko stąd widziałam magazyn z gotową odzieżą.

- Nigdy bym czegoś podobnego nie nosiła! - prychnęła z pogardą pani Hilton.

- Wolałaby pani zostać w tym, co mam na sobie?

- No nie - przyznała. - Ale pójdę z panią i doradzę, co kupić. Tym sklepikarzom trzeba patrzeć na rękę.

- Bardzo pani uprzejma.

Mikey, z coraz bardziej cierpiętniczą miną, obiecał, że poczeka na Susannę przed sklepem.

Pani Hilton proponowała jej kolejne suknie do przymierzenia, ale Susanna wymyślała kolejne wymówki, nie mogąc się, oczywiście, pokazać w dwudziestowiecznej bieliźnie. Oglądała perkale, jedwabie i satyny, zarzucając towarzyszkę zakupów mało dyskretnymi pytaniami: Czy ma wielu przyjaciół? Czy cierpi po stracie męża? Czy zamierza wyjść powtórnie za mąż?

Istniało tylko jedno, najważniejsze, pytanie, którego zadać nie mogła: „Czy zrzuciła pani Elsbeth ze schodów?”

- Czy pani nie należy przypadkiem do tego nieszczęsnego gatunku ludzi...
- zaczęła zdesperowana pani Hilton, kiedy Susanna odłożyła kolejną suknię pod pretekstem zbyt wygórowanej ceny - ...którzy niechętnie rozstają się z pieniędzmi, kupując co najwyżej towary z przeceny?

Niechcący ta kobieta trafiła w sedno. W Nowym Jorku Susanna większość ubrań kupowała na wyprzedaży. Skinęła potulnie głową.

- Nie potrafię tego zrozumieć. - Pani Hilton patrzyła na nią z politowaniem. - Raz na dwa lata jeżdżę do Paryża głównie po to, żeby zamówić garderobę u mojego ulubionego krawca.

Susanna zastanawiała się, na ile zamożnym człowiekiem musiał być pierwszy mąż tej kobiety. I jaką część tego majątku roztrwonila jego żona. Dowiedziała się jedynie, że Lucille Hilton ma wielu znajomych, żadnych bliskich przyjaciół, nie opłakuje zmarłego męża, ma naturę utracjuszki i bez wątpienia zamierza wyjść powtórnie za mąż.

Susanna wyszła ze sklepu z parą skórzanych trzewików - którymi musiała zastąpić zniszczone na cmentarzu aksamitne pantofle - oraz wewnętrznym przekonaniem, że pani Hilton nie zabiła Elsbeth.

Wieczorem po kolacji Kane oświadczył, że wychodzi na spacer. Susanna wróciła do pokoju sama. Powietrze było gorące i parne, podobnie jak atmosfera między nimi - gęstniejąca z godziny na godzinę, zapowiadająca nieuchronną

burzę. Kiedy? Jak długo mogło to potrwać? Nie знаła zamiarów Kane'a, ale ona zbliżała się do kresu wytrzymałości.

Ledwie zamknęła za sobą drzwi, zdarła z siebie kilka warstw ubrań i resztę wieczoru postanowiła spędzić w halce i batystowym kaftanie. Posmarowała się płynem przeciw komarom, zgasiła lampę i otworzyła okiennice.

Nieco uspokojona, przyciągnęła pod samo okno fotel, usiadła w nim wygodnie i, z zamkniętymi oczami, zaczęła sobie przypominać odgłosy dwudziestowiecznego miasta - klaksony aut, syreny policyjne i strażackie, lądujące samoloty, alarmy samochodowe, sąsiadów z piętnastki, którzy nigdy nie włączali muzyki inaczej niż na pełny regulator i kłócili się, wrzeszcząc. Zdała sobie nagle sprawę, w jakim hałasie żyła w Nowym Jorku - dopiero teraz, kiedy usłyszała brzmienie ciszy.

Bo nie była to martwa cisza bez żadnych dźwięków. Słyszała szelest liści, cykanie świerszczy, a gdzieś w oddali grzmot.

Nadciągała burza. Susanna czuła w powietrzu jej zapach. Cichy wiatr zamarł, w powietrzu zawisł niepokój, coś, co zawsze poprzedza gwałtowną zmianę pogody.

Światło błyskawicy oświetliło pokój w chwili, kiedy wszedł do niego Kane. Widział ją przez ten ułamek sekundy, zamarłą w bezruchu, siedzącą niczym bogini na tronie, z upiętymi do góry włosami, pojedynczymi loczkami na białym karku, cudownymi nogami, skórą barwy kości słoniowej. Burza była coraz bliżej.

Kiedy mrok rozświetliła następna błyskawica, Kane podszedł do fotela. Czując jego obecność, Susanna odwróciła głowę. Zobaczył w jej oczach pytanie. I znał na nie tylko jedną odpowiedź.

- Czy to nie dobra chwila, żebyśmy przestali ze sobą walczyć?

Nie czekając na odpowiedź, wziął ją na ręce i zaczął całować.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Błyskawica rozświetliła nie tylko niebo, ale duszę Susanny. Czuła, że w sercu Kane'a nie ma już gniewu. Tylko pogodzenie się z losem i głód - zbyt dotkliwy, żeby mogli sobie w takiej chwili cokolwiek tłumaczyć. Rozumiała jego niecierpliwość, bo czuła to samo.

Stłumienie tego pragnienia było równie niemożliwe jak zatrzymanie burzy. Z nieba lunął gwałtowny deszcz, i deszczem pocałunków Kane ukoił niepewność Susanny. Całował jej oczy, skronie, poznawał językiem zakamarki uszu, potem wracał do wilgotnych warg.

Wraz z ich pełną kapitulacją nadeszła nowa fala dręczącego pożądania. Susanna poczuła, że jest stracona. Wlała w ten pocałunek całą swoją duszę, nie pozostawiając na jej dnie żadnej tajemnicy. Pieszczotą warg i dłoni mówiła mu to, czego nie umiała powiedzieć słowami. Że kocha go. Że jest dla niej jedynym mężczyzną na świecie. Że on pierwszy wzbudził w niej uczucia, o jakich dotąd nie miała pojęcia.

Chciała wierzyć w to, że Kane, całując ją, czuje to samo. Dotyk gorących męskich dłoni był balsamem na jej zranione serce. W jego głosie nie było śladu urazy. Szeptał: „Susanno”, jak gdyby upajał się samym brzmieniem jej imienia.

Palce Kane'a wśliznęły się pod halkę. Nie spieszyły się. Sunęły w górę powoli, znacząc na jej aksamitnej skórze erotyczne esy-floresy.

Susanna dotykała niecierpliwie jego pleców. Próbując wyjąć ze spodni koszulę, zapomniała o szelkach, a kiedy je wreszcie z trudem odpięła - omal nie poraniła sobie palców sprzączkami.

Roześmiał się i spojrzał na nią z tym swoim diabelskim błyskiem w oczach, którego od kilku dni tak bardzo jej brakowało. Jednym ruchem zdarł z siebie spodnie, a drugim koszulę. Na widok jego bielizny - szortów przypo-

minających spodenki kolarskie i sięgających połowy ud - Susanna otworzyła ze zdziwienia usta.

- Kupiłem męskie kalesony, a potem pożyczyłem od Pani B. nożyczki i skróciłem nogawki. Było mi strasznie gorąco.

- Znam to uczucie - westchnęła Susanna, wachlując ręką twarz i szyję.

Rozległ się grzmot. W świetle kolejnej błyskawicy ujrzała Kane'a w całej okazałości jego nagiego ciała. Szepcząc jej imię, wyciągnął do niej obie ręce.

Podeszła do niego bez wahania. Pomogła mu rozpiąć wszystkie możliwe zapięcia, haftki i guziki swojej bielizny. Było zupełnie ciemno, kiedy halka i stanik opadły na podłogę. Ujęła jego potężne dłonie i położyła je na swoich piersiach. Wstrzymała oddech, kiedy okrężnymi, powolnymi ruchami zaczął pieścić ich różowe koniuszki.

Wyprężyła się i przygarnęła go do siebie, Wtedy objął ją w talii i uklęknął. Cichym pomrukiem zadowolenia przyjęła jego ciepłe zachłanne wargi całujące każdy milimetr jej brzucha, posuwające się od pępka coraz niżej. Oparła dłonie na jego głowie. Kiedy poczuła szorstkie policzki między udami, zacisnęła konwulsyjnie palce. Przeszył ją dreszcz wzdłuż kręgosłupa, równie gwałtowny jak błyskawice za oknem.

Ugięły się pod nią nogi i opadła na kolana. Przyłgnęła wargami do jego ust i zaczęła całować je z dzikim zapamiętaniem. Wzdychał, kiedy drażniła piersiami jego tors, mruczał, kiedy dotykała jego pośladków. Ale gdy jej ręka powędrowała w dół, Kane wyprężył się jak struna i zaczął głęboko oddychać. Chwycił ją za nadgarstek, ale było za późno. Był twardy jak stal, napięty do granic możliwości. Jej palce dziwiły się aksamitnej powierzchni, błędziły tam i z powrotem, z coraz większym zapamiętaniem. Nagle, kiedy dotknęła kciukiem najczulszego miejsca, wyszeptał jej imię i cofnął się.

- Poczekaj!

- Coś nie tak?

- Ależ tak, tak... - Objął dłońmi jej twarz i pocałował rozchylone wargi. - W portfelu mam prezerwatywę... - Zawiesił głos, speszony swoją obcesową deklaracją.

- Więc idź po nią. - Susanna uśmiechnęła się. - Twojemu portfelowi do niczego się nie przyda.

Kiedy Kane szukał po omacku fraka, ona weszła do łóżka. Chwilę później gładziła jego plecy, przyglądając się, jak drżącymi palcami rozrywa opakowanie.

- Nie ma pośpiechu - zapewniła go szeptem. - Pomyśl, że czekaliśmy na tę chwilę tylko sto jedenaście lat.

- Na to wygląda.

- Wygląda wspaniale - mruknęła. - Pozwól, że ja go ubiorę.

- Lubisz się bawić takimi... zabawkami? Widzę, że lubisz - szepnął drżącym z podniecenia głosem.

- Lubiałabym jeszcze bardziej, gdybyś był... auu... - uniosła biodra, kiedy Kane wsunął palce między wilgotne płatki. - Gdybyś włożył swoją zabawkę we właściwe miejsce.

- To znaczy: gdzie?

- Tutaj. - Pokazała mu drogę, a potem gładząc jego pośladki, czekała, aż wbije się w nią do końca.

- Czy tak ci się podoba? - szepnął, poruszając się wolno i delikatnie.

W odpowiedzi uszczypnęła go w ramię.

- A może tak lepiej? - zaczął kołysać biodrami, coraz szybciej i mocniej.

Zobaczył żar w jej oczach. Kiedy oplotła go nogami, nie potrzebowali więcej słów. Pędzili na oślep, w szalonym odwiecznym rytmie, prześcigając się nawzajem, zostawiając za sobą wszystko, co mogłoby im przeszkodzić w dobiegnięciu do brzegu.

Chciał, żeby Susanna dotarła tam pierwsza. Dopiero wówczas kiedy zamarła na moment i zduszonym głosem wyszeptała jego imię, Kane wyprężył się gwałtownie, bez uprzedzenia, jakby spięty ostrogą.

- Warto było na to czekać sto jedenaście lat - szepnęła nieco później, szczęśliwa i uspokojona. Nie usłyszawszy jednak odpowiedzi, uniosła się na łokciu, żeby spojrzeć Kane'owi w twarz. - O czym myślisz?

- O tym, że nigdy nie spotkałem kogoś podobnego do ciebie.

- To źle czy dobrze?

Uśmiechnął się i pocałował wewnątrz jej dłoni.

- To dobrze - szepnął. - Bardzo, bardzo dobrze.

- Byłoby nam jeszcze lepiej - westchnęła z ulgą - w pokoju z klimatyzacją. Burza się skończyła, a wciąż jest duszno. Ta wilgoć w powietrzu doprowadza mnie do szału.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Kane wsunął palce w jej ciemne kręcone loki.

- Niesamowite włosy!

- Wiem. Są okropne.

- Nie. Są piękne.

- Mam przeczucie - powiedział Oliver - że ta sprawa wkrótce się wyjaśni.

- Świetnie - odparł z przekąsem Kane. - Zauważyłem już, że obydwójce kierujecie się przeczuciami przy podejmowaniu decyzji.

- Bywają gorsze ułomności - zauważyła Susanna.

- W to nie wątpię!

Gorsze ułomności... Zastanawiała się, czy uwierzył wreszcie, że nie spała z jego bratem. Bała się, że jeśli zapyta go o to wprost, szczęście pryśnie jak bańka mydlana. Od ich pierwszej miłosnej nocy minęło kilka dni, a Kane sprawiał wrażenie coraz bardziej zakochanego. Był najczulszym kochankiem, uczył ją miłości i odkrywał swoje sekrety.

Dzień biegł za dniem. Susanna nie chciała już wracać do swego życia w dwudziestym wieku. Ale zostały jej tylko trzy pigułki. A Kane przyznał się rano, iż mają jeszcze jedną, ostatnią prezerwatywę. I że kończą się im pieniądze.

- Muszę przyznać, że to jedna z najtrudniejszych i najbardziej pasjonujących spraw, z jakimi miałem do czynienia - powiedział Oliver.

Dotąd Susanna obchodziła fortepian z daleka, ale pokusa była coraz silniejsza. Pani B. zachęcała gości do grania. Poza tym Kane gdzieś wyszedł, mogła więc w końcu spróbować - bez obawy, że się przed nim ośmieszy.

Westchnąwszy ciężko, położyła palce na klawiaturze. Nie grała od tak dawna... Zaczęła od kilku taktów „The piano Man” Billy Joela, nie pamiętając już, że kasetą z jego piosenkami przysporzyłaby im nie lada kłopotów. Gerta wciąż jej unikała, a jeśli już niechętnie na nią spojrzała, zegnała się trzy razy.

- Dziwna melodia. - W progu salonu pojawił się profesor Hering. - Jest w niej coś afrykańskiego. Czy to nie jakaś stara pieśń niewolników z plantacji bawełny?

Nie, pomyślała ubawiona. To zwykły rock and roll.

- Ja też trochę gram. - Profesor zbliżył się do fortepianu. - Pozwoli pani...?

- Z przyjemnością. - Ustąpiła mu miejsca z uprzejmym uśmiechem.

- To mój ulubiony utwór Stephena Fostera.

Kiedy skończył „My Old Kentucky Home”, do salonu weszły obie siostry Abernathy, żeby zaśpiewać następną piosenkę Fostera. Słyszając je, pani B. wzmocniła rodzinny duet swoim pięknym czystym sopranem, a przy „Och! Susanna”, którą profesor zaintonował na cześć „naszej drogiej pani Wilder”, do chóru przyłączył się nawet Mikey.

Kane wpadł do salonu, gdy rozlegały się ostatnie takty tej melodii. Z wyrazu jego twarzy Susanna wyczytała, że stało się coś złego.

- Susanno, musimy porozmawiać na osobności.

- Państwo wybaczą. - Unosząc jedną ręką spódnicę, ruszyła na górę. Drugą, jakby dla dodania sobie odwagi, zacisnęła na naszyjniku prababki. - O co chodzi? Co się stało? - zapytała zdyszana, kiedy znaleźli się w pokoju.

- Są nowe wiadomości na temat śmierci Elsbeth. Rozwiązaliśmy tę zagadkę.

- Ty?

- List, który dostałem dziś rano, był od Olivera. Razem z policją odwiedziliśmy dziś panią Hilton w jej domu.

- Panią Hilton!

- Właśnie. Kiedy Oliver rozpoczął dochodzenie w sprawie śmierci jej męża, jeden ze służących przyznał, że lekarstwo, które pani Hilton podawała mężowi, miało zapach migdałów. Lekarz, który przepisywał mu wszystkie leki, stanowczo twierdzi, że żadne z nich nie pachniało migdałami. Przypomniawszy nam też, że jest to woń charakterystyczna dla arszeniku. Przyciśnięta do muru, pani Hilton przyznała się do zbrodni.

- Powiedziała, że zabiła Elsbeth? - zapytała z niedowierzaniem Susanna.

- Nie. Jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu. A jeśli już mówimy o czasie, to pora wracać do dwudziestego wieku. Włóż wypożyczoną suknię i miej przy sobie wszystkie swoje rzeczy. - Mówiąc to, Kane pospiesznie zmieniał ubranie.

Czy musi okazywać tak wielką radość z tego powodu? Przecież mieli opuścić na zawsze czarodziejskie miejsce, w którym się pokochali. A może jest to miejsce, w którym tylko ona go pokochała?

W końcu nie wyznał jej jeszcze miłości... Uśmiechnęła się gorzko. Mężczyźni w tych czasach wyznawali miłość i zalecali się do kobiet. Ale były to również czasy, w których kobiety miały niewiele praw, a w wielu stanach mężczyźni traktowali je jak swoją własność.

Spełniła prośbę Elsbeth - oczyściła jej imię z zarzutu samobójstwa. A o to, że przy okazji się zakochała, mogła winić tylko siebie.

Myśląc jednak o morderstwie, w głębi duszy Susanna nadal nie mogła uwierzyć, że dopuściła się go Lucille Hilton. Błagała ducha Elsbeth o jakiś znak, potwierdzenie jej wątpliwości, ale odniosła tylko wrażenie, iż Elsbeth naprawdę nie wie, kto ją zepchnął ze schodów.

- Muszę jeszcze wpaść do Olivera - powiedział Kane. - Może ta kobieta już się przyznała? Wrócę za godzinę.

- Pójdę z tobą.

- Nie. Zostań tutaj. Będę spokojniejszy, wiedząc, że nic ci nie grozi. Rozlicz się z panią B. i powiedz jej, że jutro wyjeżdżamy. - Cmoknął ją w policzek i wybiegł z pokoju.

Susanna usiadła w fotelu, żeby pozbierać myśli. A więc wracają do dwudziestego wieku. Powinna się cieszyć. I tak było w rzeczywistości. Ale ogarniał ją też smutek. I niepokój.

A jeśli Elsbeth nie ma mocy przeniesienia ich z powrotem w dwudziesty wiek? Jeżeli będą musieli przeżyć resztę życia w epoce wiktoriańskiej? Co będzie, gdy znajdą się w niewłaściwym czasie? W czasie każdej podróży można nie zdążyć na samolot. Albo zgubić bagaż. A powrót do rzeczywistości, którą opuścili, dwadzieścia lat później lub wcześniej byłby w ich sytuacji katastrofą.

Poderwała się z fotela, nie mogąc dłużej o tym wszystkim myśleć. Pozbierała do torby wszystkie drobiazgi, sprawdziła dokładnie pokój, żeby nie zostawić żadnych śladów ich obecności, a na końcu przebrała się w swój „kostium z epoki” - czerwoną aksamitną suknię z błyskawicznym zamkiem...

Miała wrażenie, że ostatnio nosiła ją wieki temu. W rzeczywistości od dnia, w którym schowała ją pod łóżkiem, minęły niepełne dwa tygodnie.

Pani B. przyjęła wiadomość o ich nagłym wyjeździe ze szczerym żalem.

- Ale dokąd to jedziecie w takim pośpiechu? Zbliża się pora kolacji, przecież lada chwila się ściemni. Pogoda od rana jest bardzo kapryśna. Czuć taki chłód w powietrzu, a od rzeki nadciąga mgła.

- Wracamy do domu - powiedziała stanowczo Susanna.

- Do Francji? Ależ o tej porze z Savannah nie odpływa żaden statek!

- Kane załatwił jakiś specjalny kurs. Dostałam wiadomość, że musimy natychmiast wracać.

- Będzie mi was brakowało. Susanna objęła panią B. i ucałowała.

- Jestem pani wdzięczna za wszystko, co pani dla nas zrobiła. I proszę podziękować kucharce za to, że zechciała zdradzić mi przepis na indyka w ostrygowym sosie. To naprawdę pyszna potrawa.

- Za pozwoleniem... - Profesor Hering wkroczył do salonu minutę później, kiedy obie kobiety, ze łzami w oczach, padły sobie w objęcia. - Co się stało?

- Pani Wilder opuszcza nas - wyjaśniła pani B., ocierając fartuchem kąciki oczu.

Chwilę później Susanna zegnała się z siostrami Abernathy, profesorem Heringiem i, oczywiście, z Mikeyem.

- Nigdy pani nie zapomnę - powiedział wzruszony chłopiec. - I nigdy nikomu nie powiem - szepnął jej do ucha - o tej czarodziejskiej karcie pani męża. Obiecuję, że nie ukradnę ani jednego portfela. I będę za panią tęsknił.

- Ja też będę za tobą tęskniła, Mikey - szepnęła, połykając łzy.

Wiedziała, że będzie tęsknić za nimi wszystkimi. Za siostrami Abernathy, które jak nikt inny godzinami potrafiły opowiadać historię miasta Savannah, za profesorem - z dumą wychwalającym osiągnięcia młodej ojczyzny albo grającym na fortepianie przeboje Stephena Fostera. Ale najbardziej będzie jej brakowało Pani B. i Mikeya.

- O jakich znowu komplikacjach mówisz? - Kane nie ukrywał zniecierpliwienia.

- Nie ma powodu się denerwować, przyjacielu. Poza tym mam dobry słuch, więc nie musisz krzyczeć.

- Gorzej jest z twoją pamięcią. Przecież pani Hilton przyznała się do zamordowania Elsbeth.

- Niezupełnie. Przyznała jedynie, że otruła swojego męża.

- Co nowego wydarzyło się po moim wyjściu?

- Jak pamiętasz zapewne, ustaliliśmy, że Hayward Whitaker ma wystarczające alibi.

- Tak, tak. - Kane machnął niecierpliwie ręką. - W chwili śmierci Elsbeth był w salonie razem z pokojówką, której kazał rozpaść w kominku. Dziewczyna przysięgła, że właśnie wtedy usłyszeli krzyk jej pani. Pani Hilton była wtedy prawdopodobnie w jego gabinecie, ale nie ma na to świadków.

- Zgadza się.

- Więc jakie są nowe wieści? Czy służąca odwołała swoje zeznanie? Whitaker to zrobił?

- Nie. Służąca niczego nie odwołała. Ale przypomniała sobie coś bardzo interesującego.

- Co mianowicie?

- Kiedy opowiedziała nam wszystko od początku, tym razem wspomniała mimochodem, że kancelista Whitakera przywiózł mu wieczorem jakieś dokumenty.

- Gordon Stevens?

- Właśnie.

Kane poczuł gęsią skórę na plecach.

Susanna wspominała mu o trojgu podejrzanych. „Mógł mieć na jej punkcie obsesję. To się zdarza. Spokojni, normalni na pozór faceci twarzą sobie wymaginowane życie, które nie ma nic wspólnego z rzeczywistością”.

- A co na to Gordon Stevens?

- W tym właśnie problem. Wszystko wskazuje na to, że pan Stevens zniknął.

- Zniknął?

- Tak. Co więcej, Whitaker uważa, iż waga dokumentów, które dostarczył mu tamtego wieczoru Gordon Stevens, żadną miarą nie usprawiedliwia specjalnej wizyty złożonej szefowi w niedzielny wieczór.

Kane zaklął, a potem milczał przez chwilę, zbierając myśli.

- Czy Gordo wie, że go namierzyliśmy?

- Słucham?

- Gordon Stevens. Czy wie o naszych podejrzaniach? Domyślił się, że go szukamy?

- Tego nie mogę być pewny, ale jego zniknięcie każe mi przypuszczać, że tak.

- Muszę natychmiast wrócić do pensjonatu.

- Idę z tobą. - Oliver sięgnął po cylinder. - Może twoja żona nam coś podpowie. Ona w takich sprawach zdaje się kierować szóstym zmysłem. Od początku nie wierzyła w winę pani Hilton.

- Wiem. Chodźmy już. Słabo mi się robi na myśl, że zostawiłem ją samą, a ten świr jest na wolności.

- Świr?

- Maniak, opętaniec. Pospieszmy się.

Do pensjonatu dotarli zdyszani, po tylko, żeby dowiedzieć się, że Susanna wyszła.

- Wyszła? Jak to wyszła? - Kane zaatakował osłupiałą panią B. - Dokąd poszła?

- Nie powiedziała mi. Prosiłam, żeby wzięła ze sobą Mikeya. Profesor też ofiarował jej swoje towarzystwo, ale zdecydowanie odmówiła. Wyszła tuż po kolacji, bo dostała wiadomość.

- Jaką wiadomość. Od kogo?

- Ależ nie wiem!

- Ale ja wiem. - Mikey wyrósł przed nimi jak spod ziemi.

- Dlaczego nie jesteś jeszcze w łóżku? - zganiła chłopca pani B.

- Cóż to pozwala ci sądzić, Mikey - zapytał Oliver - że wiesz, dokąd udała się pani Wilder?

- To, że widziałem kartkę z wiadomością.

- Nie miałam pojęcia, że umiesz czytać. - Pani B. zdawała się coraz mniej z tego wszystkiego rozumieć.

- Uczę go - wyjaśnił Oliver.

- A z kim mam zaszczyt?

- Oliver Ogilvie do usług, droga pani.

- Czy możemy odłożyć te uprzejmości na później? - spytał niecierpliwie Kane. - Mikey, dokąd ona poszła?

- Na most.

- Jaki most?

- Nie odczytałem nazwy.

- Ile mostów jest w Savannah? - Kane zwrócił się do Olivera. - Więcej niż jeden?

- Niestety.

- No to nieźle!

- Może by pan sam to przeczytał? - Mikey podał mu kartkę.

- Dzięki, chłopcze! Dobra robota.

- W takim razie mogę iść z panem, żeby pomóc ją ratować?

Kane przeczytał wiadomość, która okazała się wezwaniem na spotkanie - z nim - w konkretnym miejscu, o określonej godzinie.

- Nie, nie możesz iść z nami. - Widząc rozpacz na twarzy chłopca, dodał łagodnie: - Chcemy, żebyś został w domu z panią B., a w razie potrzeby jej bronił. Poza tym ktoś musi czekać na Susannę.

- O mój Boże! - wykrzyknęła pani B. - Czy sądzi pan, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? Chodzi o tych bandytów, którzy ukradli wam bagaż?

- Domyślam się, kto przysłał tę kartkę - powiedział posępnym głosem Kane. - I nie chciałbym się spóźnić na spotkanie z tym draniem.

- Wezwijmy dorożkę! - Oliver uklonił się na pożegnanie. - Mam nadzieję, że spotkamy kiedyś w bardziej sprzyjających okolicznościach. Do widzenia pani.

Kiedy Oliver ruszył do wyjścia, Kane był już na ulicy i gwizdał na dorożkę. Na Manhattanie zawsze zatrzymywał w ten sposób taksówki i miał nadzieję, że okaże się on równie skuteczny w dziewiętnastowiecznym Savannah.

Kiedy poczuł na ramieniu czyjąś rękę, pomyślał o Oliverze. Odwrócił się, ale ku swojemu zdumieniu zobaczył, że stoi twarzą w twarz z mężczyzną, z którym grał w pokera - J.P. Bellowsem.

- Oddaj zegarek - powiedział.

- O czym pan mówi?

- Chcesz walczyć? Podejrzewałem cię o to, dlatego przyprowadziłem gościa, który połamie ci kości.

Gość miał dwa metry wzrostu i ze sto pięćdziesiąt kilogramów wagi.

- Co tu się dzieje? - spytał Oliver.

- Bierzemy go - rozkazał J.P.

Z wściekłości Kane'owi pociemniało w oczach. Czuł, że zbirom, którzy mu weszli w drogę w takiej chwili, dostanie się podwójnie, bo i za Gordona Stevensa. Wykonał błyskawiczny unik i schwycił olbrzyma za szyję. Chwilę później zwaliste cielsko przeciwnika leżało bezwładnie na chodniku.

Oliver tymczasem walczył z J.P. na pięści, w staroświeckim, eleganckim stylu. Mocnym prawym sierpowym znokautował miłośnika kradzionych zegarków akurat w chwili, kiedy podjechała dorożka.

- Jedź sam - powiedział do Kane'a. - Muszę dopilnować, żeby tych złoczyńców aresztowano. Spotkamy się na moście. Jedź już, żeby nie było za późno!

Susanna zbliżała się do mostu z duszą na ramieniu. W gęstej mgłę prawie niczego nie widziała, poza tym od dziecka miała lęk wysokości. Usłyszała kroki.

- Kane, to ty?

Mężczyzną, który wyrósł nagle przed nią, był Gordon Stevens.

- Pani Wilder, mąż nie spotka się dziś z panią. Nie zobaczy go już pani. Ani jego, ani... nikogo innego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Nie zobaczę nikogo? - powtórzyła, truchlejąc. - Dlatego, że mgła jest taka gęsta?

- Nie. Dlatego, że wtrąca się pani w cudze sprawy.

- O jakich sprawach pan mówi?

- Nie próbuj ze mnie drwić! Ona też tak robiła.

- Kto?

- Elsbeth. Przecież wiesz. Odkryłaś, że to ja musiałem zepchnąć ją z tych schodów.

- Pan!

- Śmiała się ze mnie. Ja ją kochałem, a ona ze mnie kpiła. Rozumiesz więc, dlaczego musiałem zrobić to, co zrobiłem.

- Tak, rozumiem - odrzekła łagodnie, rozumiejąc przede wszystkim to, że musi uciekać, i to szybko! Cofnęła się gwałtownie, ale Gordon schwycił ją za rękę.

- Nie zamierza pani chyba stąd odejść, droga pani Wilder? - spytał zatroskanym głosem. - Bo ja, niestety, nie mogę się na to zgodzić. Za dużo pani wie.

- Nie, niczego nie wiem. Nie wiedziałam, że to pan...

- Nie? Jaka szkoda! Ale teraz już pani wie. - Chwycił ją za ramiona i zaczął ciągnąć w kierunku balustrady.

- Proszę przynajmniej powiedzieć, dlaczego pan to zrobił! - Postanowiła zyskać na czasie, jedną ręką szukając w torbie przedmiotu, którym mogłaby go

uderzyć. - Podobno pan ją kochał. Jak można kogoś kochać, a potem go zabić?
Czy można nazywać to miłością?

- Nie odwzajemniała mojego uczucia. Nie kochała mnie i nigdy by nie pokochała.

- Więc dlatego pan ją zabił? - Susanna zacisnęła palce na pęku kluczy. Przypomniała sobie, że na kursie samoobrony uczono ją, że kluczami można wymierzyć napastnikowi cios w oczy. Najpierw jednak musiała wyjąć rękę z torby.

- Właśnie. Jeżeli nie chciała mnie, to postanowiłem, że nikt jej nie będzie miał.

Byli o krok od balustrady.

- Co pan teraz zrobi? - zapytała z panicznym strachem w głosie.

- A jak pani sądzi, pani Wilder? Czy to pani prawdziwe nazwisko?

- O co panu chodzi?

- O to, że pan Whitaker kazał mi wysłać depezę do pani drogiej przyjaciółki, Althei Hall z Nowego Jorku. Odpowiedź od niej nadeszła dziś rano. Podobno nie słyszała nigdy w życiu ani o Susannie Wilder, ani o jej mężu. Sprawdziliśmy też jubilera, który rzekomo wykonał dla pani dodatkowy komplet biżuterii. - Gordon wyciągnął rękę po naszyjnik Susanny. - On też nigdy o pani nie słyszał. Pozwolę sobie pani przypomnieć, że niewiele mamy czasu. Nie ma pani już nic do stracenia, więc proszę mi powiedzieć, kim pani jest?

- Przyjaciółką Elsbeth. - Mówiąc to, Susanna poczuła nagle jej kojącą obecność, gdzieś obok siebie, w gęstej mgle. - Sprowadziła mnie tutaj, żebym rozwiązała zagadkę jej śmierci.

- O czym pani mówi?

- Nie jestem przyjaciółką Althei Hall, tylko jej prawnuczką.

- To niemożliwe!

- Nie ma rzeczy niemożliwych dla ducha. Ducha Elsbeth, który jest teraz z nami. Słucha nas.

Gordon, osłupiały z przerażenia, uwolnił rękę Susanny, która w tym samym momencie chwyciła klucze, naciskając niechcący elektroniczne urządzenie alarmowe. Ostry przenikliwy dźwięk przeszył powietrze.

Kane rozpoznał ów sygnał natychmiast.

- Susanno! - krzyknął. - Gdzie jesteś?

- Tutaj, Kane! Jestem tutaj! Pomóż mi!

Po chwilowym szoku, kiedy z powrotem zapanowała cisza, Gordon dogonił Susannę, schwycił ją oburącz za ramiona i znowu zaczął ciągnąć w kierunku balustrady. Po drodze nadepnął na upuszczone klucze, jeszcze raz uruchomił alarm, ale natychmiast je podniósł i cisnął w kierunku balustrady. To samo zrobił z torbą Susanny.

- Teraz ty!

- Kane!

Kane wynurzył się z mgły niczym mityczny bohater, z dzikim wrzaskiem, któremu dorównałby jedynie okrzyk wojenny wikinga. Rzucił się na Gordona, nokautując go ciosem ramienia wymierzonym w nerki.

Przez ułamek sekundy Susanna zawisła na balustradzie. Patrzyła z przerażeniem w mroczną toń wody, która stałaby się jej grobem, gdyby Kane nie zdążył jej schwycić. Przyłgnęła do niego bez słowa i dopiero na widok Gordona podnoszącego się z ziemi odzyskała głos.

- Uważaj, Kane, on ma nóż!

Odepchnąwszy ją na bok, Kane obrócił się na pięcie i w porę zrobił unik.

- Co z tobą, Gordo? - spytał pogardliwie, rozkładając ręce w bezradnym geście. - Robi się trochę gorąco, co? Zaczynasz panikować?

Gordon przeszył nożem powietrze, tym razem o wiele za blisko, by Kane mógł go lekceważyć. Cholera, gdzie jest Oliver?

- No więc dlaczego to zrobiłeś? Powiedz, Gordo, dlaczego zrzuciłeś Elsbeth ze schodów?

- Już ci mówiłem.

- Nie mnie. Mnie jeszcze nie powiedziałaś. To musiał być ktoś inny. Wszystko ci się płacze w tej biednej głowie. Często ci się to ostatnio zdarzało? Jasne, że tak, nie musisz tego potwierdzić. Wszyscy wiedzą, że brakuje ci kilku klepek, prawda, Gordo? Jesteś wariatem!

- Przestań mnie tak nazywać! - Gordon zawył jak zwierzę i zamierzył się znowu, chybiąc tym razem celu co najmniej o pół metra.

- Tracisz zimną krew, Gordo. Cóż, stres robi swoje. Może potraktują cię łagodnie, w końcu nie jesteś normalny. Dlaczego to zrobiłeś?

- Zabiłem Elsbeth, bo ją kochałem - krzyknął Gordon. - I nie pójdę za to do więzienia!

- Słyszałeś go, Oliverze? - wrzasnął Kane, modląc się, żeby detektyw wyłonił się wreszcie z mgły.

- Nie dam się nabrać na taki stary numer - parsknął z wściekłością Gordon.

- Słyszałem - odpowiedział Oliver. - Najlepiej pan zrobi, jeśli natychmiast się podda, panie Stevens. To jedyna szansa, żeby sąd potraktował pana łaskawiej. Zna pan przecież prawo. Przyznanie się do winy stanowi zawsze okoliczność łagodzącą.

- To wszystko twoja wina! - Gordon zaczął krzyczeć do Susanny. - Przez ciebie mam kłopoty!

Błyskawicznym, tygrysim skokiem rzucił się na nią z nożem w rękę. Kane wyrwał mu nóż, ale nie zdążył osłonić Susanny.

- Puść ją - powiedział.

- Nie pójdę do więzienia!

- Nie ma pan, niestety, wielkiego wyboru. - Oliver stanął u boku Kane'a.

- Mam wybór! I skorzystam z tej szansy. Nie pójdę do więzienia. Wolę skończyć życie w tej rzece.

- Nie mam nic przeciwko temu - wycedził ponurym głosem Kane. - Ale nie zabierzesz z sobą Susanny.

- Nie powstrzymasz mnie. - Cofając się, Gordon wydał ostatni okrzyk: - Elsbeth!

Kane rzucił się na niego i wyrwał Susannę z jego uścisku w ostatniej sekundzie, kiedy kancelista Haywarda Whitakera przechylał się przez balustradę, by wpaść do rzeki Savannah.

- Wszystko będzie dobrze - szeptał Kane, tuląc w ramionach Susannę.

- On naprawdę chciał mnie zabić - powiedziała drżącym głosem. Była w szoku. Docierały do niej strzępy rozmowy Olivera z policjantami, ale wolała się skupić na słowach pocieszenia, które szeptał jej do ucha Kane.

Kiedy uniosła wreszcie głowę, pierwszą rzeczą, którą zauważyła, była unosząca się w górę z nienaturalną szybkością mgła. Czyżby ta dymna zasłona nie była wcale mgłą, tylko sztuczką Elsbeth?

- Mgła rzednie - powiedziała nieprzytomnym głosem.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Wrzucił do rzeki moją torbę.

- Wiem. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

- Nie będzie. A jeśli ktoś ją wyłowi, znajdzie moją kartę kredytową i wszystkie inne rzeczy? Mogłoby to narobić zamieszania i bałaganu w historii.

- Nie sądzę.

- Dobrze. Więc jak wyjaśnię tę zgubę w banku? Powiem im, że sto jedenaście lat temu jakiś psychopata wrzucił moją torbę do rzeki Savannah? Jestem pewna, że kupią taką bajkę bez zmrużenia oka!

Widząc, że zbliża się do nich Oliver, Kane ścisnął delikatnie ramię Susanny.

- Mam dobre wiadomości. Ale najpierw pozwoli pani, że wyrażę swoją ogromną ulgę i radość z tego, że nic się pani nie stało.

- Myślę, że po tym, co wspólnie przeżyliśmy, powinien się pan zwracać do mnie po imieniu - odparła Susanna.

- Z przyjemnością. A więc jeden policjantów odnalazł twoją torbę. Nawet nie wpadła do wody, bo zaczepiła się o przęsło mostu.

- Dzięki Bogu! - Zanim zorientowała się, że torba jest zabłocona, wyrwała ją Oliverowi i przycisnęła odruchowo do piersi, plamiąc suknię. - O Boże! - westchnęła. - Nigdy tego nie spiorę.

- Zamówiłem dla was powóz, którym wrócicie do pensjonatu. Powiem tylko policjantom, że odjeżdżacie.

Oliver odszedł pospiesznie, a Susanna, cofnąwszy się o krok, nagle nadepnęła na swoje klucze. Podniosła je natychmiast i wrzuciła do torby.

- To jakiś cud! - krzyknęła. - Byłam pewna, że ten drań wrzucił je do rzeki.

- Chodź. - Kane objął ją mocno ramieniem. - Nie straciłaś ani torby, ani kluczy, a co najważniejsze - życia. Wracamy do pensjonatu.

- Nie. - Susanna uniosła głowę, jak gdyby wsłuchiwała się w jakiś dźwięk... albo głos. - Nie! Musimy pojechać do domu Whitakera.

- O tej porze? - spytał Oliver, który przyłączył się do nich niepostrzeżenie.

- Po co? Mogę was zapewnić, że pan Whitaker nie miał pojęcia o zbrodniczych skłonnościach swojego pomocnika. Nawet go nie podejrzewał.

- A czy dowiedziałeś się, z kim się spotkał tamtej nocy na cmentarzu?

- Tak. Z prywatnym detektywem. Zdaje się, że pan Whitaker, podobnie jak wy, podejrzewał panią Hilton.

- Ja nigdy nie wierzyłam, że ona to zrobiła - oświadczyła Susanna. - Miałam jakieś przeczucie...

- Czy takie samo przeczucie każe ci jechać w tej chwili do domu Whitakera? - spytał Kane.

Skinęła głową. Czowała bardzo wyraźnie obecność Elsbeth, która dawała jej do zrozumienia, że jeśli chcą wrócić do domu, to mogą zrobić to teraz albo nigdy.

- Wierzę w twoje przeczucia - powiedział bez cienia kpiny w głosie.

- Naprawdę?

- Tak. Będziemy potrzebowali twojej pomocy. - Kane zwrócił się do Olivera. - Czy sądzisz, że udałoby ci się wprowadzić nas do domu Whitakera? Jeszcze dziś w nocy?

- Wydaje mi się, że Whitaker nie wrócił jeszcze z posterunku policji.

- Ale my nie chcemy się z nim spotkać.

- Więc po co chcecie wchodzić do jego domu?

- To długa historia. Jedź z nami, opowiemy ci o wszystkim po drodze.

- Czy to ma coś wspólnego z waszym pochodzeniem... z Francji? - zapytał Oliver, kiedy wszyscy troje znaleźli się w powozie.

- Nie przyjechaliśmy tu z Francji - odparł Kane. - Jesteśmy z przyszłości. Duch Elsbeth Whitaker przeniósł nas w te czasy po to, żebyśmy rozwiązali zagadkę jej śmierci.

Oliver przyjął to wyjaśnienie ze spokojem.

- Nie wyglądasz na zaskoczonego - zauważył Kane.

- Podejrzewałem od dawna, że was dwoje dzieli od nas coś więcej niż miejsce zamieszkania - odpowiedział beznamiętnie. - No i ten twój zegarek, Kane! Trudno sobie wyobrazić coś bardziej niezwykłego.

- Mówiłam ci, żebyś go nie nosił - przypomniała mu z wyrzutem Susanna.

- Wcześniej czy później przysporzyłby nam kłopotów.

- Rzeczywiście, dziś wieczorem spowodował niejake trudności. Okazało się, że pewnego pokerzystę - znajomego twojego męża - opętała żądza posiadania tego zegarka. Wynajął zbira, który napadł na Kane'a akurat w chwili, kiedy spieszyliśmy ci na pomoc. Stąd niewielkie spóźnienie.

- Zranił cię? - zapytała Susanna.

- Nie. Skończyło się na drobnej utarczce.
- Gdybyś przyjechał chwilę później... - Susanna wzdrygnęła się i ukryła twarz w dłoniach.
- Ale obaj zdążyliśmy na czas. Do domu Whitakera też przyjedziemy w porę.
- Co zamierzacie zrobić? - spytał Oliver.
- Wrócić tam, gdzie jest nasze miejsce.
- To naprawdę zadziwiające. Czy ludzie w waszych czasach podróżują przez stulecia ot tak. sobie - jak my do innego miasta albo stanu?
- Nie, niezupełnie - odpowiedział z uśmiechem Kane.
- A więc to eksperymentalna wyprawa? Może jesteście naukowcami?
- Nie. Tak naprawdę nazywam się Susanna Hall i jestem spokrewniona z przyjaciółką Elsbeth...
- Altheą Hall. Słyszałem, że pan Whitaker telegrafował do niej i otrzymał odpowiedź, że nigdy o was nie słyszała. Teraz rozumiem. To wszystko zaczyna nabierać sensu... A naszyjnik? Skąd macie tak dokładną kopię biżuterii Elsbeth?
- Dostałam ją w spadku.
- Oliver pokiwał głową, jak gdyby kolejny element skomplikowanej układanki trafił na właściwe miejsce.
- Wciąż nie wiemy, jak się dostać o tej porze do domu Whitakera - przypomniał mu Kane. - Masz jakiś pomysł?
- Owszem. Musimy skorzystać z tylnego wejścia. Przy okazji dochodzenia poznałem dosyć dobrze kucharkę Whitakera. Postaram się zająć rozmową tę zacną kobietę, wtedy wy dwoje wemkniecie się do środka. Jeśli dobrze pamiętam, drzwi kuchenne otwierają się na zewnątrz, dzięki czemu łatwo się za nimi skryjecie.
- Brzmi to rozsądnie.
- A więc znakomicie. Spytałem o coś kucharkę, a kiedy ona wyjdzie na zewnątrz, wślizgniecie się do kuchni.

- Zgoda - odparł Kane. - W takim razie pora się pożegnać - dodał, kiedy powóz zatrzymał się przed domem Whitakera.

- Nie jesteśmy nawet w stanie się odwdziaczyć za to, co dla nas zrobiłeś. - Susanna uścisnęła detektywa.

- Ja też tak myślę. Jesteśmy twoimi wielkimi dłużnikami. - Kane uścisnął dłoń Olivera i wręczył mu wszystkie dziewiętnastowieczne pieniądze, jakie im zostały. - Wiem, że to niewiele, ale... poczekaj! Mogę dać ci dobrą radę.

Jeśli chciałbyś w coś zainwestować, radzę zwrócić uwagę na wynalazki Thomasa Edisona i Henry'ego Forda.

- I Alexandra Grahama Bella! - dodała Susanna, wychodząc z powozu.

- Chcecie powiedzieć, że telefony naprawdę staną się popularne?

- Zrobią furorę.

- Ciekawe, co jeszcze czeka ludzkość w dwudziestym wieku... - mruknął do siebie Oliver.

Nigdy przedtem nie byli w kuchennej części domu. Pierwsze drzwi, które otworzyli, prowadziły do spiżarni. Na dźwięk głosu Whitakera zamarli z przerażenia. Dopiero kiedy Oliver wywołał Haywarda na zewnątrz, westchnęli z ulgą.

- Chodź - szepnął Kane, ciągnąc Susannę za rękę. - Musimy wejść na górę, zanim nas złapią.

- Zaczekaj. Myślę, że tamte drzwi prowadzą przez spiżarnię do jadalni, skąd dostaniemy się do salonu. Tam znajdziemy właściwe schody.

Kane prowadził ją bez słowa poprzez kolejne puste pokoje, aż do krętych schodów. Im bardziej zbliżali się do salonu na drugim piętrze, tym silniejsze było przecucie Susanny, że ich przygoda się kończy,

Tak jak za pierwszym razem, kiedy wszystko się zaczęło, czuła, że prowadzi ją jakaś dziwna siła. Zauważyła migoczące światło świecy.

- Cholera, ktoś tam jest! - szepnął Kane.

- Nie, wszystko w porządku. Chodź.

Kiedy weszli do pokoju, zobaczyli plamę rozproszonego niebieskiego światła, a w środku tej eterycznej poświaty Susanna ujrzała stojącą kobietę.

Elsbeth! Nie spoglądała już na Susannę tamtymi smutnymi oczami z portretu. Uśmiechała się łagodnie, a jej twarz miała wyraz pogodzonej z losem kobiety, która zaznała wreszcie wiecznego spokoju. Powiedziała bezgłośnie „dziękuję” i wyciągnęła rękę.

Tak jak poprzednio, Susanna szła ku niej jak zahipnotyzowana, coraz bliżej i bliżej... Prawie dotykała Elsbeth, kiedy światło zaczęło jaśnieć, aż stało się prawie oślepiające. Nagle pokój utonął w mroku, a ciszę przerwał głuchy łomot i krzyk kobiety.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Susanno! - krzyknął rozpaczliwie, a potem, klnąc pod nosem, sięgnął do kieszeni po dwudziestowieczne zapalniczki i jedną z nich zapalił,

Zobaczył, że w pokoju nie ma mebli, ściany są nie otynkowane, a na podłodze leżą jakieś materiały budowlane.

- Susanno, gdzie jesteś?

- Koło ciebie.

Odetchnął z ulgą, rzucił na podłogę wypaloną zapalniczkę i chwycił Susannę w ramiona.

- Nic ci się nie stało?

- Nie - odpowiedziała drżącym ze wzruszenia głosem. Udało się! Wrócili i mieli przed sobą normalną, być może wspólną przyszłość. Dopiero teraz zaczęła w to naprawdę wierzyć.

- Dlaczego krzyczałaś? - spytał Kane.

- Potknęłam się o puste wiadro z jakimś pędzlem malarskim w środku.

- Narobiłaś tyle hałasu, że umarłego by to zbudziło.

- Widziałeś ją? Elsbeth tu była. Kane nie odpowiedział.

- Wyjdźmy stąd. - Zapalił następną zapałkę i ruszył pierwszy, torując Susannie drogę przez zwałowisko desek, worków i rozmaitych rupieci.

- Popatrz, nie ma lustra. - Susanna wskazała palcem okno w holu na drugim piętrze.

Kiedy podeszli do schodów, zauważył ich przewodnik.

- Usłyszałem jakiś hałas. Proszę państwa, tu nie wolno wchodzić. To część domu niedostępna dla zwiedzających. Bankiet wydawców niedawno się skończył. Większość gości już wyszła, za chwilę zamykamy drzwi.

- Jaki dziś mamy dzień? - spytał Kane.

- Środę, ale za chwilę wybije północ, więc praktycznie będzie już czwartek.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenie. Mimo że odbyli dwutygodniową podróż, tutaj minęło zaledwie kilka godzin. Jak to możliwe?

- Naprawdę musimy już zamykać - przypomniał zniecierpliwiony mężczyzna.

- Dobrze. - Susanna uśmiechnęła się do niego. - Ale proszę nam odpowiedzieć na jedno pytanie. Kim jest kobieta z tego portretu?

- To Elsbeth Whitaker. Tragiczna historia. Zamordował ją obłąkany wielbiciel, który był kancelistą jej męża. Dręczony wyrzutami sumienia, sam potem skoczył z mostu do rzeki i utonął.

Susannę ogarnął smutek na myśl, że oto coś się do końca wypełniło. Ich misja powiodła się. Oczyszczili imię Elsbeth z zarzutu samobójstwa, zmieniając nieco historię.

- Zagadkę tej zbrodni rozwiązał niejaki Oliver Ogilvie - dodał przewodnik, widząc zainteresowanie w jej oczach.

- Ów najsłynniejszy detektyw Savannah stał się bardzo zamożnym człowiekiem dzięki śmiałym inwestycjom i upowszechnianiu wielkich wynalazków tamtej epoki. Pan Ogilvie nie miał własnych dzieci, ale jego

adoptowany syn - długoletni szef policji - ma również świetną kartę w historii ,tego miasta. Jego żyjący potomkowie należą do najaktywniejszych obywateli Savannah.

- Mikey? - Susanna i Kane, spojrzawszy na siebie, spytali chórem.

- Słucham?

- Nic, nic... - powiedziała Susanna. - Bardzo dziękujemy, że zechciał nam pan opowiedzieć historię Elsbeth.

- Niestety, czasy wiktoriańskie nie należały do najciekawszych w historii Savannah. Mówiąc szczerze, były po prostu nudne.

- Nie powiedziałabym - mruknęła Susanna. - Wcale się wówczas nie nudziłam.

Kiedy wyszli z domu Whitakera, mimo nocnej pory zaskoczył ich hałas, smród spalin i dużo jaśniej niż w 1884 oświetlone ulice. W miarę jak zbliżali się do głównej alei, ich zdziwienie rosło. Tam, gdzie był salon krawiecki, w którym Susanna spotkała panią Hilton, stały teraz opustoszałe, zabite deskami kamienice. Witryny nielicznych sklepów były okratowane. Jakiś bezdomny mężczyzna spał w bramie.

Jak na powrót do dwudziestego wieku, wrażenie było przygnębiające.

Kane, nie mówiąc ani słowa, zatrzymał taksówkę. Rzucił kierowcy nazwę hotelu, w którym, jak się okazało, zatrzymała się również Susanna.

Od wyjścia na ulicę czuła, jak Kane się od niej oddala. W taksówce nie odzywał się i ani razu jej nie dotknął. To zły znak, pomyślała, ale starała się nie ulec panice. Działo się coś, przed czym nie ostrzegł jej wcześniej instynkt. Była zdezorientowana. Nie wiedziała, o czym myśli Kane. Nie miała żadnych przeczuć.

Była tylko pewna, że jest nie mniej od niej zakłopotany. Kiedy wyjął pieniądze, żeby zapłacić za taksówkę, Susanna odruchowo sięgnęła do torby. Kane gestem ręki kazał jej wysiąść z auta.

- Zmykaj - powiedział, unikając jej wzroku.

Czekała na niego w klimatyzowanym holu przed windą, próbując opanować rosnące przerażenie.

- Dobrze się czujesz? - spytała ze ściśniętym gardłem, kiedy podszedł wreszcie niepewnym krokiem i dalej milczał.

- Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

Wydało jej się, że westchnął z ulgą, kiedy otworzyły się drzwi windy. Wyraźnie nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie sam. Wszedł do środka. Ona została.

- Jedź - powiedziała, widząc zniecierpliwienie w jego oczach. - Ja tu zaczekam.

- Posłuchaj - powiedział nagle - mamy za sobą niesamowite dwa tygodnie - albo kilka godzin, zależy jak liczyć. Myślę, że oboje potrzebujemy trochę czasu dla siebie, żeby się z tym wszystkim oswoić.

Metalowe drzwi zamknęły się, a Susannie krew odpłynęła od serca.

Potrzebują czasu dla siebie? Żeby się oswoić? Słowa Kane'a dudniły jej tępo w głowie, a po policzkach płynęły łzy. Nie przypuszczała nawet, że można ją tak boleśnie zranić.

Kiedy weszła pod prysznic, uświadomiła sobie nagle, że Kane nigdy nie powiedział, że ją kocha. Tak naprawdę, nie powiedział nawet, że jej ufa - w związku z tą nieszczęsną sprawą z bratem. Stała nieruchomo pod silnym strumieniem wody, zdając sobie sprawę, że ani psychicznej udręki, ani bólu w piersiach, który utrudniał jej oddech, nie zmyje z siebie tak łatwo.

Położyła się do łóżka. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest wyczerpana. W tej jednej sprawie Kane miał rację - przeżyli niesamowite dwa tygodnie, lub kilka godzin - zależy, w którym wieku... Tak czy inaczej, starczyłoby jej wrażeń na trzy długie życia.

Jej ciało domagało się snu, ale myśli nie dawały spokoju. Próbowwała znaleźć jakiś głębszy sens tego wszystkiego, co się wydarzyło. Pogodzić sprzeczne uczucia, jakie wzbudzał w niej Kane. Przypomniała sobie czułość, z

jaka się kochali, scenę na moście, kiedy ratował jej życie z narażeniem własnego. Leżąc z zamkniętymi oczami, czuła niemal jego ciepłe wargi na skroniach, kiedy, kołysząc ją w ramionach, szeptał słowa pocieszenia. Nie tak by się zachowywał, gdyby nic do niej nie czuł. Jeszcze dwie godziny temu, kiedy szukał jej w domu Whitakera, głos drżał mu z przejęcia.

Kane rozpałił w jej duszy ogień, którego płomienie kołysły nawet gniew. Czy miała siedzieć beczynn timer i użalać się na los jak sfrustrowana nastolatka? Czy też wziąć los w swoje ręce i spróbować coś wyjaśnić? Bo coś tu na pewno się nie zgadzało.

Zapaliwszy światło, usiadła gwałtownie na łóżku.

- Do diabła ciężkiego! A co ja mam do stracenia?

Kane nie mógł uwierzyć, że o drugiej w nocy ktoś puka do jego drzwi. Nie zamawiał niczego do pokoju i nie spodziewał się towarzystwa. A jednak ktoś pukał. Ktoś, kto wyraźnie nie miał zamiaru poddać się i odejść. Wyjrzał przez wizjer i zobaczył Susannę. Była rozczochrana, smutna i chyba bardzo zła. I zachwycająco piękna.

Otworzył drzwi.

Nie czekając na zaproszenie, Susanna weszła do środka i spojrzała mu w oczy.

- Posłuchaj, nie mam zamiaru cię zanudzać ani owijać niczego w bawełnę. Nie będę też udawać, że nic się między nami nie stało. Pytam cię więc wprost: co ty do mnie czujesz? Bo, widzisz, tak się składa, że ja byłam na tyle głupia - albo na tyle odważna - żeby się w tobie zakochać. I mam ochotę ci to powiedzieć - właśnie teraz, bez względu na to, czy raczysz się do mnie wreszcie odezwać, czy nie! - Westchnęła głęboko. - I jeszcze jedna sprawa, być może najważniejsza. Chcę wiedzieć raz na zawsze, czy uwierzyłeś mi, kiedy przysięgałam, że nic mnie nie łączy z twoim bratem.

- Nie mam pojęcia, co się dzieje z moim bratem - zaczął niepewnie.

A więc nie wierzył jej. Susanna była zrozpaczona. Zaryzykowała wszystko, obnażyła się przed nim - i zrobiła z siebie idiotkę. Policzki paliły ją ze wstydu. Nie chciała słyszeć ani słowa więcej. Nie mogła na niego patrzeć. Odwróciła się i podbiegła do drzwi.

- Zaczekaj! - Kane schwycił ją za łokieć. - Nie słuchasz mnie - powiedział czułym głosem. - Zresztą nie po raz pierwszy. Chyba weszło ci to w krew. Powiedziałem, że nie wiem, co się dzieje z moim bratem. To znaczy, że wierzę tobie. Wobec mnie zawsze byłaś uczciwa... Czasami aż do bólu. - Uśmiechnął się i odgarnął kosmyk włosów z jej policzków.

- Wierzysz mi? - spytała, połykając łzy.

- Tak. Nie wiem, dlaczego mój brat wymyślił tę historię, ale już mu nie wierzę. Ufam tylko tobie. I kocham cię.

- Więc dlaczego...?

- Uciekłem od ciebie? Dlatego, że wpadłem w panikę. Ta podróż przez stulecia poprzestawiała mi wszystko w głowie. Mówiłem ci już, że dotąd byłem logicznie myślącym facetem. Miałem trzeźwy stosunek do życia, dla wszystkiego musiałem znaleźć wyjaśnienie. Nie bardzo wiedziałem, na czym polega wiara i nadzieja, z czym to się je, ale też niespecjalnie mi tego brakowało. Aż do chwili kiedy wkroczyłaś w moje życie.

Przygarnął ją do siebie i scalał płynące po jej policzkach łzy. Łzy niewysłowionej ulgi i szczęścia.

- Czy wiesz, że nie kochaliśmy się od stu jedenastu lat? - szepnął jej do ucha, wsuwając dłonie pod krótką jedwabną koszulkę. - Chyba nie musimy czekać z tym jeszcze dłużej...

- Ani sekundy dłużej...

Kiedy obudziła się nad ranem, zobaczyła, że Kane szuka czegoś po omacku na nocnym stoliku.

- Znowu? - mruknęła, ocierając się o jego plecy.

Nie odpowiedział. Wydarł z notatnika kartkę papieru i wręczył ją Susannie bez słowa.

- Co to jest?

- Przeprosiny. Pracowałem nad nimi, kiedy zapukałaś do drzwi.

Pamiętasz, co powiedziałaś pierwszego dnia na targach? Że żądasz przeprosin na piśmie.

Tłumiąc łzy, przeczytała list kilka razy.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepnęła.

- Nie szkodzi. Za to ja mam ci coś do powiedzenia. Wyjdź za mnie.

- Mam wyjść za ciebie... Wyjść za męża?

- Właśnie. Nie usłyszałem odpowiedzi.

Zanim wydobyła z siebie głos, zadzwonił telefon. Z wyrazu twarzy Kane'a zrozumiała, że rozmawia z bratem. Przygotowała się na najgorsze, ale on zauważył strach w jej oczach. Zasłoniwszy ręką słuchawkę, przyciągnął ją do siebie i pogładził po policzku.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął.

- Nie mogłem cię zastać, Kane - zaczął Chuck podnieconym głosem. - Muszę ci coś powiedzieć. Ja... zrobiłem coś w rodzaju rachunku sumienia i muszę ci to wyznać. Do głowy mi nie przyszło, że spotkasz się z panią Hall w Savannah, na tych targach... Anna mi powiedziała, że pojechałeś tam specjalnie, żeby z nią porozmawiać. To było kłamstwo, Kane. Zmyśliłem to. Nic między nami nie było. Zełgałem. Naprawdę nie wiem, co mi odbiło... - Chuck zaśmiał się histerycznie, jakby przez łzy. - Może dlatego, że... przy twoich sukcesach zawsze czułem się jak zero. Zawsze nadrabiałem miną. Choć raz chciałem poczuć się jak prawdziwy facet... Zacząłem sobie roić, że ja i Susanna... Bo nie wiem, czy zauważyłaś, braciszku, ale ona jest piękną kobietą.

- Zauważyłem - odparł spokojnie Kane.

- No właśnie. Patrzyła na mnie jak na szczeniaka, traktowała jak wszystkich innych praktykantów. Więc zmyśliłem całą tę historię. Nie żebym

się w niej zakochał, nie o to chodzi. Kiedy wyobrażałem sobie, że jestem jej facetem, czułem się jakiś... ważniejszy, rozumiesz? Rozmawiałem o tym z Anną. Zgodziłem się pójść z nią do psychologa, żeby zorientować się, czy nasze małżeństwo jest do uratowania.

- Dobry pomysł.

- Ale dzwonię głównie po to, żeby cię przeprosić. Cholernie mi głupio, że wciągnąłem cię w takie bagno. Zresztą kto wie, może ty i Susanna wpadniecie sobie w oko.

- To więcej niż pewne. Trzymaj się, pogadamy, jak wrócę.

- Czego chciał? - zapytała niecierpliwie.

- Wszystko wyśpiewał. Miałaś rację, ale nie chcę teraz rozmawiać o Chucku. W każdym razie zgodził się skorzystać z pomocy terapeuty i ratować swoje małżeństwo.

- To dobre wieści.

- Marzy mi się jakaś dobra wieść z twoich ust. Zadałem ci ważne pytanie - najważniejsze pytanie w moim życiu - a ty nie raczyłaś na nie odpowiedzieć.

- Zdajesz sobie sprawę, że w tej sferze czasu znamy się dopiero kilka godzin, najwyżej dobę...

- Spędziliśmy ze sobą dwa tygodnie w 1884 roku, żyjąc jak przykładne małżeństwo. Ile znasz par z podobnym doświadczeniem?

- Dwa tygodnie to też niezbyt długo...

- Zabawne, jak czas szybko płynie, kiedy człowiekowi jest dobrze. Gdy jest zakochany i wszystkie nieważne sprawy może odłożyć na później. Powiedz tylko, że wyjdiesz za mnie.

Powiedziała. Nie tylko słowami.

